MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 38 WARSZAWA, 19 WRZEŚNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRZY ORDYNACJE WYBORCZE

POLSKA dość często zmienia ordynacje wyborcze do Sejmu. Dotąd mieliśmy już trzy: Moraczewskiego z r. 1918, Sejmu suwerennego z r. 1922 i Sławka z r. 1935. Pułk. Koc pracuje nad czwartą.

Zaletą pierwszych dwu ordynacyj wyborczych była daleko posunięta powszechność głosowania. Po długiej niewoli ludność polska chciała się „upić wolnością i władzą". Powszechny udział w wyborach dawał ludności państwa polskiego poczucie współgospodarza państwa i był najlepszą propagandą za związaniem ogółu ludności z państwem. Nie chcę przez to zamykać oczu na wady zbyt daleko posuniętej powszechności i równości (wyborca lat 21, poseł lat 25, brak rozróżnienia Polaka od żyda), na brak wszelkich kwalifikacyj u zbyt wielu, zaufaniem mas obdarzonych wybrańców itd. Wszystkie te ujemne strony bledną jednak wobec zrównania w prawach i obowiązkach wobec państwa najszerszych mas i związania tych mas z państwem.

Zaletami ordynacji wyborczej do Sejmu konstytucyjnego była jej dzielnicowość, regionalność i rozmaitość. Wybory powszechne odbyły się tylko w części Polski. Ze Śląska, z Małopolski wschodniej, z ziem zachodnich, z ziemi wileńskiej wchodzili do Sejmu albo dawni posłowie do parlamentów państw zaborczych albo w różny sposób wybrani lub delegowani mężowie zaufania tych ziem. Mniejszości narodowe bojkotowały pierwszy Sejm polski; jedynie dwaj Niemcy łódzcy i 9-ciu żydów z Polski centralnej, po pewnych wahaniach znaleźli się na ławach poselskich pierwszego Sejmu Polski wyzwolonej Ten niemal czysto polski skład Sejmu był wyrazem pewnej myśli politycznej: gospodarzami, urządzającymi podwaliny pod zręby państwa polskiego, musieli być i byli tylko — Polacy. Niestety, ówczesna większość Sejmu nie wyzyskała tej sytuacji. Zarówno Konstytucja z r. 1921, jak i ordynacja wyborcza z r. 1922 noszą na sobie piętno daleko posuniętego liberalizmu i demokracji XVIII i XIX w. wobec wszystkich, choćby uciążliwych, mieszkańców Polski.

Ordynacja wyborcza z r. 1922 (referentem jej był dr. J. Buzek z ramienia ludowców) była ordynacją złą nie dlatego, że dawała powszechne głosowanie, ale dlatego, że petryfikowała daleko idące rozproszkowanie polityczne kraju, a w województwach o ludności mieszanej nie zabezpieczała dostatecznie interesów ludności polskiej. Wybory z listopada 1922 r. dały np. na Wołyniu wszystkie mandaty do Sejmu i Senatu—nie Polakom. Polacy zostali tam zmajoryzowani i na 5 lat pozbawieni zupełnie reprezentacji w polskim Parlamencie. Lista państwowa zapewniła większym ugrupowaniom właściwe, politycznie wyrobione i wytrawne kierownictwo, ale nie zapobiegła i zapobiec nie mogła rozłożeniu się w sali sejmowej aż kilkunastu obozów, kilkunastu klubów poselskich. Mechanicznie stosowana proporcjonalność pozwoliła mniejszościom narodowościowym na wyzyskanie wszystkich szans przez stworzenie bloku mniejszości. Rozproszeni po miastach żydzi, nie mając szans na przeprowadzenie w wielu okręgach swoich własnych kandydatów, poparli kandydatów lewicy, głównie socjalistów i komunistów. Jeśli mimo to Obóz Narodowy w drugim z kolei Sejmie dochodził nieraz do głosu i do wpływu, to zawdzięczał to dwu okolicznościom: a) błędowi Ukraińców, którzy zbojkotowali wybory z r. 1922 i b) przyciągnięciu do współpracy stronnictw środka: Narodowej Partii Robotniczej i Piastowców.

Oparte o tę samą ordynację wyborczą wybory w latach 1928 i 1930 dały wyniki zupełnie inne, aniżeli w r. 1922. Z Wołynia wszystkie mandaty w r. 1928 otrzymała lista B. B. W r. 1930 lista ukraińska otrzymała tam jeden mandat. Podobny wynik dało Polesie. Trudno nam jednak powoływać się na te wyniki lub chlubić się nimi. Dowodzą one tylko jednego: administracja może „zwyciężyć" przy każdym systemie wyborczym.

Ordynacja z r. 1935 doprowadziła fikcję po-

wszechnego głosowania do — absurdu. Ogółowi pozwolono wybierać dwu z pośród kilku wskazanych zgóry kandydatów. Bojkot wyborów, proklamowany przez Stronnictwo Narodowe, był jedyną naturalną reakcją, to też przyjął się ogólnie. Około 90 proc. polskich wyborców uchyliło się od głosowania i od odpowiedzialności. Głosy własne obozu rządzącego, głosy dorobione oraz głosy żydowskie, niemieckie i ruskie, dały razem zaledwie 25 proc. głosów, uprawnionych do głosowania. System wyborczy Sławka uratowały od zupełnej śmieszności zjednane przez pp. Sławka i Kościałkowskiego głosy mniejszości narodowych. Przypominają to wybranym ich głosami posłom polskim przy każdej sposobności, zwłaszcza—żydzi.

W kompromisie z UNDO w Małopolsce wschodniej i z żydami w większych skupieniach rząd Sławka przeprowadził jedną zasadę słuszną: nie może być żadnego okręgu wyborczego bez posła Polaka. Wszystkie okręgi wyborcze wiejskie w Małopolsce wschodniej dały w rezultacie sojuszu rządowo-ukraińskiego równą ilość posłów polskich i ukraińskich. Wszystkie większe miasta dały w okręgach t. zw. żydowskich jako posłów po jednym żydzie i po jednym Polaku. Skutecznie zademonstrowały przeciw narzuconemu z góry komisarzowi tylko trzy okręgi. Poza tym wszędzie wyszli kandydaci, jakich wyborcom wskazał—premier Sławek.

Z Sejmu tak wybranego nie ma politycznego pożytku nawet—ojciec tego tworu. Nic więc dziwnego, że ordynacja wyborcza Sławka odrazu skazana została na zagładę. Zniesienie jej stało się najpopularniejszym hasłem politycznym całej Polski. Opinii tej — *vox populi vox Dei* — poddał się ostatecznie i następca BB — Obóz Zjednoczenia Narodowego.

Nową ordynację wyborczą układa obóz rządzący—on też poniesie za nią całą odpowiedzialność. Cóż ona — aby narodowi polskiemu, jako gospodarzowi państwa, przyniosła właściwy pożytek—zawierać powinna?

Nowa ordynacja wyborcza musi pozbyć się wad obu ostatnich ordynacji. Podstawą wyborów do Sejmu — a tym tylko problemem w tej chwili się zajmujemy — musi być oczywiście głosowanie powszechne, równe, tajne, bezpośrednie. Czy także proporcjonalne? Niekoniecznie — zwłaszcza w województwach o ludności jednolitej. Interesy polskie w okręgach mieszanych mogą być zabezpieczone w sposób różny; proporcjonalność nie jest sposobem najskuteczniejszym. Niemniej utrzymana być musi zasada, iż każdy okręg polski winien mieć Polaka jako swojego reprezentanta obok ewent. drugiego reprezentanta innego narodu. Żydzi (konstytucja kwietniowa z r. 1935 przyznaje im prawa obywatelskie) mają być wydzieleni w oddzielną kurię wyborczą. Wyliczone wyżej podstawy ordynacji wyborczej nie są stawianiem warunków, są tylko stwierdzeniem zasad, którym hołduje polski obóz narodowy.

Obóz narodowy nie lęka się żadnej formy walki wyborczej wśród polskiego społeczeństwa. Z walki wyborczej wśród Polaków pragnie wyeliminować obce wpływy, bo nie chce mieć w Sejmie posłów, wybranych głosami żydów czy Niemców i służących ich interesom, mimo, iż z nazwy i ze stronnictwa są Polakami. Narodem i państwem polskim może i powinien rządzić ten obóz polityczny, który ma w masach narodu należyte oparcie i reprezentuje właściwe cele i dążenia polskiego narodu. Ordynacja wyborcza tej zasadzie powinna dać wyraz właściwy; powinna ułatwić dalsze zasadnicze przemiany ustrojowe Polski. Nie sądzimy, aby OZN zrealizować mógł te zasady.

Będą tacy, którzy domagać się będą powrotu do stosunków z przed maja 1926 r. Nie sądzę, aby ich było zbyt dużo. Nawet wśród przywódców polskiej lewicy są już dziś ludzie, trzeźwo oceniający rzeczywistość polską. Będą tacy, którzy położą nacisk na zabezpieczenje czystości wyborów. Oczywiście — będą mieli rację formalną. Wielu, przepisy, mające chronić czystość aktu wyborczego od nadużyć, a zawarte w dawniejszych ordynacjach wyborczych, wydawały się dostateczne. Rzeczywistość wyborcza w latach 1928 i 1930 i los protestów wyborczych udowodniły, że się mylili. Bo do tego, aby ustawa dała zamierzony przez ustawodawców rezultat, potrzeba jeszcze dobrej woli tych, którzy ją wykonywują.

Nowa, dobra ordynacja wyborcza to dopiero wstęp do—rzetelnej pacyfikacji stosunków politycznych w Polsce. Od ordynacji wyborczej do — Polski narodowej droga jeszcze daleka.

Na drodze do Polski narodowej nie trzeba jednak lekceważyć żadnego etapu. Zła lub dobra ordynacja wyborcza może nam przebycie tej drogi ułatwić lub—utrudnić i opóźnić.

STANISŁAW RYMAR

NARODOWOŚĆ POLSKA I ŻYDOWSKA

(Dokończenie)

DUSZA ludzka w swojej najgłębszej treści ma nieograniczone możliwości przełamania przyrodzonych sobie przeszkód.

Niemniej nie wyciągamy drugiego wniosku z naszego pojęcia niższości rasy żydowskiej. Po pierwsze: czy by była wyższą, czy niższą, żądalibyśmy tak samo praw narodowych na ziemi polskiej dla narodu polskiego, życząc żydom szczęśliwego rozwoju w ich własnym kraju, gdziekolwiekby go mogli mieć. Powtóre: stwierdzając, że wszystkie złe cechy rasy żydowskiej stworzyła długowieczna kultura ich „rasizmu" usprawiedliwiedliwiającego wszelkie ich wobec nas łajdactwa w zakorzenionem pojęciu ich pierwszeństwa i wyższości nad gojem,—musimy bronić się przed tą fikcją i ich zbiorowym obłędem i budować w sercach dumę na naszą inność. Każdy może się czuć czem chce i to jest jego subiektywne prawo, byle nie rościł sobie z tego tytułu przywilejów na równej platformie walki o byt do zagarniania dóbr fizycznych i moralnych drugiego.

Powiedzieliśmy, że niższość rasy żydowskiej i to w perspektywie etyki chrześcijańskiej, stworzył żydowski „rasizm". Nie Dmowski ją wymyślił, ale Nechemiasz. Dzisiejsze Niemcy, podniecane przez masonerię, ekspozyturę mentalności żydowskiej zarówno jak interesów żydowskich dalszoplanowych, są na najlepszej drodze do stania

się aryjskimi żydami przyszłości. Teraz przynajmniej są we własnym kraju od innych odcięci fizycznie. Ale jeśli się ich zboczenie utrwali, a nie daj Boże jaki Tytus zburzy im Berlin, jak Jerozolimę i od matki ziemi oderwie, to rozsypani po świecie mogą stać się za lat dwa tysiące gorsi od tych, którymi dziś gardzą. Żaden nordyzm ich od tego nie uchroni.

Tak więc podstawą rasy jest krew i kultura. Nie miejsce tu zastanawiać się nad różnicami kultur różnych narodów. (Jeśli chodzi o Niemcy, to zwięzłe zestawienie dał M. Pawlikowski w rozdziale „Kultura pruska" w książce „Wczorajszy Okop"). O podstawach kultury żydowskiej powiedziano już dosyć, u nas od Zielińskiego po artykuły Wasilewskiego, Niemojewskiego, Pieńkowskiego czy broszury księdza Trzeciaka, aby było potrzeba charakter jej i historię określać. Pewne cechy jej judejskich zadatków i rozwój dwutysiącoletni w diasporze stworzyły dzisiejszego żyda.

*

Zmierzając do przeciągnięcia linii demarkacyjnej pomiędzy żydem a Polakiem musimy zatrzymać się nad sprawą asymilacji, i to asymilacji tak jednostkowej, jak dziedzicznej.

Jeśli wiemy, że pierwiastki rasowe stanowią krew i kultura, to musimy przyjąć, iż asymilacja dokonywać się może, o ile się wogóle może, na drodze tak samo krwi, jak kultury. Mielibyśmy bardzo łatwe rozwiązanie problemu mieszańców jak i asymilacji ras, gdyby nie to, że wzajemna wymiana na terenie gdzie się cisną i walczą obok siebie dwie kultury, dokonywa się bezustannie. Gdybyśmy mogli wyłuskać mieszańców z tego terenu i izolować ich jak parę motyli, czy osobniki roślin różnych odmian,—doszlibyśmy prawdopodobnie do stwierdzenia, że cechy nabyte w drodze kultury duchowej dziedziczy się tak samo jak fizyczne cechy rasy, że podlegają one prawu Mendla a procent i prawdopodobieństwo ich dziedziczenia w dalszych pokoleniach zaciera się czy rośnie analogicznie: proporcjonalnie do skrzyżowań. Nie można przytem pominąć zasady „rasy przeważającej", zważywszy, że żydzi stanowią rasę czystą w przeciwieństwie do bardziej niejednolitych i mieszanych ras aryjskich. Już nawet w naszych stosunkach, mimo ciągłego wpływu kultury drogami psychicznemi na osobniki krwi czystej, czy mieszanej, potrafi to zauważyć każdy baczniejszy obserwator.

O ile jednak łatwo stwierdzić dopływ krwi zawierającej we wrodzone już inklinacje przetworzone nabytki kultury przodków, o tyle dużo trudności wogóle, a tym bardziej dla ścisłego eksperymentalnego badania, przedstawia doraźna, codzienna osmoza wpływów duchowych bezpośrednio na dane osobniki. Trudno więc wyselekcjonować cechy odziedziczone od cech doraźnie nabytych.

Mówiąc o cechach „doraźnie nabytych" dochodzimy do sprawy asymilacji jednostkowej. Jeśli chodzi o asymilację jednostkową, uczy nas doświadczenie iż rasa żydowska posiada w swej kulturze daleko większą siłę asymilacyjną niż polska. Przetworzenie psychiki żydowskiej na psychikę polską jest niezmiernie rzadkie i wymaga olbrzymiego, rzetelnego wysiłku jednostki. Zdarza się ono zresztą raczej u stuprocentowych żydów niż u mieszańców. Przetwarzanie natomiast psychiki polskiej na żydowską pod wpływem środowiska czy sąsiedztwa żydowskiego, jest na porządku dziennym, — oczywiście przede wszystkim tam, gdzie dokonywa się wymiana prądów intelektualnych. Do tego nie potrzeba wysiłku moralnego człowieka. Psychice tej przesiąkanie ułatwia wszystko: indyferentyzm ideowego napięcia, korzyści natury materialnej, błyskotliwość zewnętrzna etc.

Żyd, który potrafi oprzeć się nietylko wyraźnym, ale także i podświadomym cechom żydowskiego myślenia i czucia, musi stać moralnie niepomiernie wyżej, niż swojej katolickiej i polskiej etyki i swoich poczuć wyzbywający się Polak. Do tego chrzest nie wystarcza, o czem powiemy gdzieindziej.

Kultura moralna rasy wyższej musi być zdobywana w bohaterskim trudzie, kultura rasy niższej wpycha i oddaje się sama.

Tej prawdy nie zmieni fakt rzeczowego ograniczania się sanhedrynu żydostwa w najwyższych wtajemniczeniach. „Najwyższe wtajemniczenie" rasy polskiej tak samo jak Kościoła Chrystusowego leży w tem, co nigdy nie było powiedziane i czego wypowiedzieć się nie da. Ono nie boi się dekonspiracji. Trzeba na to być Polakiem i dzieckiem Chrystusa aby je posiąść.

Dusza ludzka w tle rasowych skłonności swojej rasy stanowi indywiduum samo dla siebie i posiada swój personalizm. Może się ponad swój poziom wznosić i może upadać. Powiedzieliśmy, że ma nieograniczone możliwości opanowania doczesnych, przyrodzonych swych cech. Ale też ten jej personalizm wynoszący ją ponad normalny, przyrodzony prąd którego jest dzieckiem, czy przeciwnie: powodujący, iż wypadając z niego, w dół leci, ogranicza ją tylko do niej samej. Następne pokolenia, którym da tu na ziemi początek, zdobyczy jej moralnych nie odziedziczą bezpośrednio. Może ona conajwyżej dopomódz przez wychowanie swoim dziedzicom do zdobywania ich własną drogą. Samo bowiem wychowanie ich nie wrazi, może tylko narzucić powierzchowne ich pozory, ich złudzenie. Jako cechy dziedziczne w predyspozycjach naturalnych rasy urabia je dopiero systematyczne wychowanie w ciągu wielu pokoleń na przestrzeni tysiącleci.

Dla tego nie powinniśmy zarówno wyciągać smutnych wniosków z faktu moralnego zażydzenia wielkiej części naszej inteligencji, jak wniosków pocieszających z wyjątkowych wypadków zasymilowania jednostek żydowskich, — jeśli chodzi o przyszłość. Dzieci zdeprawowanego Polaka płyną z przemożnym prądem atawistycznym przeszłych pokoleń i od nich samych będzie zależała ich przyszłość. Dzieci spolszczonego choćby prawdziwie żyda, pozostaną w swej naturze żydami i tylko od ich personalnych walorów zależeć będzie czy potrafią same stać się tak niezmiernie rzadkimi wyjątkami, jak ich ojciec.

Wiem tylko o dwu żydach w Polsce, w których w takie wyjątki gotówbym uwierzyć. Jeden z nich, którego znam osobiście, przyznał mi z bólem, że nie wierzy aby to zabezpieczyło dzieci jego, czy wnuki od żydostwa. Dlatego możemy

w Polsce uznawać możliwość spolszczenia jednostek, choć musiałoby to być stwierdzane bardzo autorytatywnie, gdyż w przeciwnym razie każdy Polak mógłby sobie powiedzieć, że w innym żydzie widzi wyjątek i nie starczyłoby żydów na wyjątki. W żadnym jednak razie nie możemy przyznawać im spolszczenia dziedzicznego. Co do mieszańców zaś musimy zachowywać zupełną rezerwę, poza przyjęciem możliwości takich wyjątków osobistych, umniejszającą się tylko ze słabnącym odsetkiem krwi w dalekich pokoleniach, — stosując kryterium analogiczne do mendelizmu w nauce dziedziczności rasy.

PIOTR PONISZ

BŁĘDY DRUKU. Do pierwszej części artykułu w poprzednim numerze wkradło się kilka błędów:
Str. 575 w szp. 1 w. 12, zamiast „wprowadzonej" ma być „wyprowadzonej", — oraz w. 20 zamiast „przewodniczącego", ma być: „przeczącego". Str. 576 w. 3 przed gwiazdką Po słowie „tożsamości" brak słów: „jeśli idzie o jego gatunek, jak i jej świadomości". Str. 577 po gwiazdce w. 7 zamiast „naszą" ma być „naszej", w w. 14 po „konsekwencje" brak słowa „niemieckiej".

GŁÓWNE ZNAMIONA KULTURY ŻYDOWSKIEJ

KULTURA jest wytworem dziejów. Taka jest kultura narodu, jakie są jego dzieje. Bywają narody, zbiorowiska, społeczności, których dzieje kryją w sobie ich niepowtarzalną, samorodną wielkość, ich najistotniejszą wartość, ich duszę; dzieje, które zdają się być przeznaczone, by wydawać tylko najprzedniejsze owoce. Bywają wszelako i takie społeczności, których dzieje blade i bezbarwne, małostkowe lub wręcz nikczemne, sygnet jałowości lub małości wyciskają na wszystkich swoich wytworach. Ich kulturze brak tego pierwiastka, który ją czyni pożądaną dla ludzkości — twórczej wzniosłości.

Jeżeli zastanowimy się nad historią żydów, rozproszonych po krajach europejskich, a więc i żydów w Polsce, uderzy nas przede wszystkim to, w jak wielkim stopniu pochłaniało ich życie materialne z całym swym złożonym kompleksem. Cały ciężar wagi na nim spoczywa. Że pociągało to za sobą atrofię życia duchowego — było całkiem naturalne. Twórcze pierwiastki rasy żydowskiej obiektywizowały się w sferze najbardziej realnych kontaktów z najbardziej realną rzeczywistością.

W pozornej sprzeczności z powyższym stwierdzeniem znalazł się fakt, że kulturę żydostwa w jej historycznym przebiegu wypełnia prawie bez reszty dziedzina religii [1]). A przecież nic nie jest czynnikiem bardziej odrywającym od spraw ziemskich, jak właśnie religia. Sprzeczność ta znika jednak, gdy się bliżej przyjrzeć charakterowi religii żydowskiej. Otóż religia żydowska w przeciwieństwie do wszystkich innych religij, szczególnie chrześcijańskich, pełni dla swych wyznawców funkcję nie inną, niż b i o l o g i c z n ą. Jej trzon zwrócony jest do życia ziemskiego. Sfera zaświatów służy jej tylko jako skuteczny środek do umacniania człowieka w życiu ziemskim. Ziemia i wszystko, co jest z nią związane, przytłacza sobą niebo. które, co trzeba specjalnie podkreślić, nie jest ani elementem nadrzędnym ani autonomicznym, a to przecież stanowi kardynalną podstawę wszelkiej religii. Za pomocą swej religii żydzi zdobywają równowagę duchową w świecie m a t e r i a l n y m, ona daje im „ułatwione życie", ale po tej, nie po tamtej stronie. Czerpią z niej swój witalizm, wartości regeneratywne, bronią się nią przed słabością, klęską, w niej szukając rady i pomocy w najprzyziemniejszych nieraz i najbanalniejszych sprawach egzystencji. M e t a f i z y k i b r a k.

Tej funkcjonalnej wyłącznie roli religii żydowskiej nie negują nawet sami pisarze żydowscy. Oto co np. pisze o tem M. H. Horwitz w swej książce p. t. „W kwestii żydowskiej" (wyd. Kraków 1937).

„Żydzi do niedawnego czasu stanowili wspólnotę opartą na religii: ona była racją ich bytu i celem ich istnienia... Ona też była ich p u k l e r z e m o d p r z e ś l a d o w a ń i u c i s k u, o n a u c h r o n i ł a i c h o d z a g ł a d y. Religia żydowska jest nietylko systematem dogmatów teoretycznych i nakazów moralnych: jest ona nadto kodeksem licznych przepisów, regulującym w najdrobniejszych szczegółach życie i obyczaje swych wyznawców. Co więcej, g d y m e t a f i z y c z n o-t e o l o g i c z n a j e j c z ę ś ć j e s t n a d e r u b o g a i p u s t a, c z ę ś ć, ż e t a k p o w i e m y, ś w i e c k a, d o t y c z ą c a d o c z e s n e g o ż y c i a, n i e z m i e r n i e j e s t b o g a t a i s k o m p l i k o w a n a. Stanowi to jednocześnie jej siłę i jej słabość: siłę, bo z więzienia, otoczonego tak licznymi murami—tak talmud nazywa przepisy religii żydowskiej—uciec nie łatwo; ale i słabość: bo skoro się żyd wyzwoli od życiowych jej nakazów i recept, pozostałość dogmatyczna jest zbyt szczupła, aby go przy religii utrzymać (podkreślenia moje)". Bardzo ciekawe wyznanie.

Jest z tego względu u żydostwa coś, co przypomina ludy pierwotne: Człowiek nie wyzwolił się jeszcze spod jarzma zewnętrzności otaczającego świata, usiłuje dla istoty swej znaleźć jakieś miejsce w tym przytłaczającym chaosie zjawisk i rzeczy. Wszystkie jego twory i czyny to tylko środki, dopomagające mu do spełnienia tego biologicznego celu. Przyjdzie dopiero okres, gdy u człowieka pierwotnego nastąpi przesunięcie, bez którego nie może być mowy o kulturze duchowej: nie świat, przyroda i materia nad człowiekiem, lecz człowiek nad światem, przyrodą i materią. Wszystko wskazuje na to, że w ogólnej, zasadniczej świadomości żydowskiej przesunięcie to jeszcze nie nastąpiło.

[1]) Bardzo ciekawym świadectwem supremacji religii w kulturze żydowskiej jest zjawisko reakcji społeczności żydowskiej w Polsce wobec r e n e s a n s u. Renesans znaczył swój pochód w pierwszym rzędzie ześwieczczeniem, zlaicyzowaniem życia. U żydostwa zaś naszego przełomowej wagi prąd ten zdołał zaledwie ujawnić niejakie tendencje do rozwinięcia nauk, leżących poza religią (filozofia, medycyna), najsilniej stosunkowo dotknął życia religijnego i to w sensie wyłącznie destruktywnym — wszystko to razem wziąwszy w rezultacie żadnych poważniejszych owoców nie wydało. Główną przyczyną: całkowita niewspółmierność, antynomia, której nie można było zniwelować, między ż y c i e m ż y d o w s k i m, opartym na fundamencie religii a szerokim, ekspansywnym, r e w i z j o n i s t y c z n y m prądem O d r o d z e n i a.

Zwróćmy tylko uwagę, abstrahując nawet od religii, że brak instynktu metafizycznego jest wogóle nadwyraz znamiennym dla psychiki żydowskiej mankamentem. Nawet najbardziej wysubtylizowana żydowska umysłowość Spinozy nie mogła się uwolnić od ciężaru kosmosu, nie była zdolna do stworzenia pojęcia Boga, pozbawionego całkowicie pierwiastka materialnego. Wszak dla Spinozy Bóg to jest jedno wielkie ciało kosmiczne.

Cóż dopiero mówić o tak typowych przedstawicielach kultury żydowskiej, jak Marx i Freud. Pierwszy, wierząc aż do przesądu we wszechmoc warunków gospodarczych i form konstytucyjnych i sądząc, że brak pokus, wynikających z przeciążenia pracą i z nędzy, zniszczy wszelkie zło w człowieku i pozostawi w nim tylko dobro, nie dostrzegał olbrzymich powikłań i antynomij, mających swe źródło w głębi życia duchowego, a tym samym zaprzeczał duchowemu, samoistnemu charakterowi człowieka. Wyobrażając zaś sobie, że szczęście polega na życiu wygodnem i wolnem od trosk, był naiwnie krótkowzroczny i płytki. Równą płytkość i równy brak zrozumienia dla wartości duchowych zdradza drugi, gdy istotę człowieka tłumaczy za pomocą wszechwładnej *libido*. To, że całą kulturę ludzką uważa za produkt jedynie sublimacji i otamowań płci, jest poprostu dowodem, że jej istota była dlań za głęboka, on ją ściągnął na swój poziom i pojął w sposób, który ujawnił całą jego własną małość i prostactwo duchowe.

W tej bezwrażliwości na zjawiska metafizyczne nie można dopatrywać się objawów siły, że oto żyd odrzuca bohatersko wszelkie fantomy i rozprawia się sam na sam z rzeczywistością. Owszem, w tem jest siła, płynąca z niedostatku, z istotnego ubóstwa, z ograniczenia.

Jakże drastycznie zarysowuje się ubóstwo duszy żydowskiej, gdy się porówna wyobrażenia religijne żydów z okresu Starego Testamentu i te same wyobrażenia z tego samego okresu — Greków. Monoteizm judaistyczny jest czemś grubem, zmysłowem, dotykalnem, politeizm helleński, aczkolwiek również zabarwiony nie mało antropoomorfizmem, uderza bogactwem, różnorodnością, subtelnością, złożonością. Przecież nawet nie bogów należy porównywać z Jehową, lecz inny pierwiastek mitologii greckiej, mianowicie Ate-Przeznaczenie, istotę całkowicie nieosobową i całkowicie nadrzędną. Ate jest wytworem czystej metafizyki. Ate jest tajemnicą: i już z tego samego względu nie mogłaby się znaleźć w niebie żydowskim. Bo żydzi mają dziwną awersję (co stanowi inną cechę świadomości żydowskiej) do wszelkich tajemnic, nie uznają ich, pragną wszystko wytłumaczyć, wyjaśnić, zamrozić w sobie za wszelką cenę kapitał niepokoju—w sposób, jaki się mieści w sferze ich władz.

Nic przeto dziwnego, że cała kultura żydowska wyróżnia się tak wybitnie jednolitością, monotonią, prostotą. Wszystkie jej wytwory są siłą rzeczy projekcją całokształtu znamion osobowości żydowskiej: odznaczają się brakiem metafizyki, materializmem, zmysłowością (w literaturze np. od „Pieśni nad pieśniami" Salomona począwszy a chociażby na naszym Tuwimie skończywszy), supremacją elementów techniki, kompozycji, „chwytów", kunsztu, dużą ekspansją witalną, artyzmem.

Posługując się terminologią Julien Bendy [2]), można powiedzieć, że naród żydowski to naród rasowych laików. Brak mu klerków. Klerk jest w pewnem znaczeniu arystokratą duchowym. Potrafi się poświęcić całkowicie wartości, która absolutnie nic nie przynosi (biorąc rzecz praktycznie), znajduje rozkosz w posiadaniu jakiegoś dobra nie doczesnego i niepopłatnego. Żydzi natomiast to proletariusze duchowi, którzy zawsze pytają się: co my będziemy z tego mieli, co to komu przyniesie; myślą wyłącznie kategoriami utylitarystycznymi, choćby ten utylitaryzm nie wiem jak był uszlachetniony. Formalizm i abstrakcjonizm (talmud) kultury religijnej żydowskiej nie mają nic wspólnego z „klerkizmem", bowiem są to wszystko kalkulacje, obrachunki, dotyczące najbardziej poziomych sfer życia. Niczego bardziej odległego od psychiki żydowskiej nie można sobie wyobrazić jak słowa, które mogą być do pewnego stopnia zasadą klerka: „Królestwo moje nie jest z tego świata". Tutaj też leży źródło, z którego bierze się np. tak osobliwie zabarwiony i tak silnie napięty humanitaryzm Słonimskiego. Jest ten humanitaryzm niewątpliwie szczery, ale zarazem odsłania wyraźnie istotną słabość duszy żydowskiej, która nigdy nie zrozumie, że mogą być wartości wyższe nad życie, wyższe nad człowieka i całkiem nie lękające się zakusów sprzysiężonego militaryzmu.

Jest w tem wszystkim coś z tragizmu zaciekłego szańcowania reduty zagrożonej.

ALEKSANDER ROGALSKI

[2]) Oczywiście, fakt, że Benda jest pochodzenia żydowskiego niema tutaj żadnego znaczenia.

DWOISTOŚĆ TEOZOFII TRENTOWSKIEGO

III

SPRAWA jest całkowicie jasna. Według wyznania wiary zawartego w ostatnim jego dziele, w istotnym testamencie filozoficznym, Trentowski był „najczystszym teistą", ale nie był chrześcijaninem, cóż dopiero mówić: katolikiem. Jeżeli siebie i braci z loży nazywał tam chrześcijanami, „lepszymi chrześcijanami", „jedynie prawdziwymi chrześcijanami", to dlatego, że posługiwał się tym słowem w osobliwym, swoistym znaczeniu.

Według niego tedy człowiek, mimo że prawdziwy syn Boży, z naturą Bożą współistny, ma jednak na drodze swego postępu do pokonania zło; zło to w nim leży, w jego woli, która będąc wolną może tłumić w duszy pierwiastek boskości, a dopuszczać do władania pierwiastki zwierzęce zewnętrznego człowieka. Opanowanie tych wypadów zwierzęcości, oczyszczenie w duszy światła św. Jana, jest zadaniem moralnym życia i wytyczną owej palingenetycznej drogi postępu,

Wynik końcowy usiłowań, kres drogi, jest niewątpliwy: boskość zwycięży w człowieku, synostwo Boże ziści się w pełni, człowiek każdy stanie się równy Bogu nie ilościowo, lecz jakościowo, stanie jako „ziemski bóg", bogo-człowiek („*Gottmensch*"), jako sam Chrystus, zbawca świata. W ten sposób wolnomularstwo doprowadza ludzi do pełnego synostwa Bożego i... „jeśli ma

tęgich wychowanków, jest w stanie wytwarzać samych Chrystusów“ („*lauter Christus zu bilden*“)[13]).

Wynika z tego wcale wyraźnie, że słowo „Chrystus" ma dla Trentowskiego dwa znaczenia. Raz oznacza drugą osobę Trójcy św., pojętą wszelako nie osobowo, ale kollektywnie, jako „Jaźń człowieczeńska, jedna wprawdzie u Boga i w niebie, lecz nieskończona numerycznie na ziemi“ [14]). drugi raz oznacza człowieka, jednostkę ludzką, która sama przez się, moralną uprawą wewnętrzną, dopracowała się w sobie do przebóstwienia. Ten zaś kres dopracowywania się stoi otworem dla wszystkich ludzi: wszyscy mogą się stać Chrystusami. W szczególności, jak widzimy, takie wychowanie człowieka na Chrystusa ma być zadaniem lóż.

W tym to sensie nazywa Trentowski wolnomularstwo „prawdziwym chrześcijaństwem" i z dumą przeciwstawia je chrześcijaństwu dotychczasowemu: „Wy chcecie chrześcijan—pisze,—my chcemy Chrystusów, z których każdy ma być *Ecce Homo*; wy chcecie chrześcijan, a my zbawicieli świata, wielkich mężów i dobroczyńców ludzkości". Oczywiście tak pojęte wolnomularskie „chrześcijaństwo prawdziwe" niema z chrześcijaństwem historycznym nic wspólnego.

Zaznaczyć i teraz nie zawadzi, że aprobowana tutaj wizja kresu ludzkości, zamienionej w „samych Chrystusów", w *Panteonie* jest właśnie odrzucona, jako powłoka politeizmu lub panteizmu. „Jaźń ludzka—czytamy tam—pozyskawszy już najwyższą, Bogu równą doskonałość, — albo stałaby się drugim, trzecim, setnym, tysiącznym Bogiem, co sprawiłoby wielobóstwo nowego rodzaju,--albo też ona sama, niepodołając stać wobec i obok Boga samodzielnie, a będąc z Nim zupełnie jednaka, utonęłaby w Jego istocie i przepadłaby na zawsze..." [15]).

W jaki sposób autor *Wolnomularstwa* uporał się z tymi argumentami, niewiadomo; trudnościom tym nie poświęcił tam bowiem ani słówka.

W gruncie rzeczy więc Trentowski wziął rozbrat z katolicyzmem i z chrześcijaństwem.

Nie ulega to już teraz najmniejszej wątpliwości.

Inaczej być nie mogło. Wolnomularstwo porywając się do zjednoczenia wszystkich religij, sprowadzając je do wspólnego mianownika „najczystszego teizmu", stawało ponad kościołami, ponad wyznaniami, zmierzało do utworzenia jednego, prawdziwie powszechnego „niewidzialnego kościoła ludzkości". Stawiając humanitaryzm jako najwyższy cel dążenia zbiorowego ludzkości, skupia wolnomularstwo ludzi bez względu na rasy, wyznania, narodowości, gromadzi „wszystkie dzieci Boga i ziemi"; tym samym żadnemu z wyznań, kościołów cząstkowych, wyłączności i powszechności przyznać nie może. Więcej: kościołom owym wypowiada walkę.

W rzeczywistości sprowadza się to w książce Trentowskiego do walki na jednym tylko froncie: do ostrej, namiętnej walki z Kościołem katolickim i z chrześcijaństwem w ogóle. W tej walce był Trentowski szermierzem zawziętym. Piętrzył zarzuty, wyciągając je już to z nauki, już też z historii Kościoła, i bił nimi w Kościół z pasją nieopanowaną; wszystkie upadki i zabłądzenia ludzkości kładzie na jego rachunek. „On był duchowym sprawcą wszystkich jej czynów i on jeden jest za nie odpowiedzialny“. Ale zbliża się już kres tego władania.

Nie cofa się też autor przed miotaniem pod adresem Kościoła gróźb, bardzo wiele mówiących: „Baczność—woła—nieprzejednani wrogowie! Zalecamy wam zastanowienie się i przezorność. Już dwukrotnie wypędzono was z waszych świętych, katolickich i powszechnych kościołów: raz za reformacji, drugi raz za wielkiej rewolucji francuskiej. Pomyślcie, że może wcześniej, niż przypuszczacie, nadejdzie czas, w którym wolnomularstwo, ten wszechosobowy kościół przyszłości, w waszych wspaniałych katedrach i monasterach odbywać będzie swe prace lożowe ku radości i uszczęśliwieniu rodzaju ludzkiego!“ [16]).

Jednym słowem, autor nie tai, że w walce jaką masoneria prowadzi z Kościołem, chodzi nie i skuteczną obronę, nawet nie o zwykłą satysfakcję zwycięstwa; chodzi o spadek, o ster życia duchowego ludzkości. Wolnomularstwo ma być następcą („*Nachfolger*") Kościoła katolickiego, to też obecnie traktuje go jako wroga głównego („*Erzfeincin*".)

Trentowski jest głęboko przeświadczony, że organizacja wolnomularska przemoże organizację Kościoła, teozofia lóż zasłoni jego teologię, że na gruzach kultury, wzniesionej przezeń w ciężkich zapasach ze złem, w którym „leży świat", — wolnomularstwo wznosić będzie inną, której fundamentem będzie uznanie bogo-człowieczeństwa, a osią wzrostu łatwo-optymistyczna ewolucja, perfekcjonizm, celem zaś: ludzkość Chrystusów.

Wolnomularski system teozoficzny Trentowskiego tak szczegółowo jest obmyślany i skonstruowany, rozwinięty z takim ogniem przeświadczenia, że szczerość jego nie może podlegać wątpliwości. Jakimkolwiek się wydawał autor jego za życia w rozmaitych stosunkach z rozmaitymi ludźmi — tutaj niechybnie był cały i autentyczny. Żegnając się z życiem, jak Konrad Wallenrod odrzucił kryjący go długo płaszcz z gestem raz nareszcie szczerej wyniosłości: „Oto są grzechy mojego żywota!" Książka *Die Freimaurerei* jest ostatecznym wyznaniem wiary, odsłania bez reszty właściwe poglądy filozoficzne, a zwłaszcza religijne, autora. Chociaż nawet równocześnie w stosunkach z ludźmi spoza loży wydaje się on innym, chociaż wyraźnie sam innym się mieni, nie można się temu dać zwodzić: są to wszystko pozory i celowe mistyfikacje.

Autor najobszerniejszej naukowej monografii o Trentowskim pisał: „Właśnie w czasie najżywszego w niej (t. j. w loży) udziału przechylał się Trentowski na stronę katolicyzmu, aż wreszcie uznał się w liście do Zdanowicza katolikiem, tylko nie średniowiecza, ale XIX w.". [17])

Rzeczywista prawda w tej sprawie leży na przeciwległym biegunie:

Korespondent Zdanowicza, pomocnik Czartoryskiego i Zamoyskiego, najoddańszy przyjaciel i współpracownik Z. Krasińskiego, paszportowy ni

[13]) *Die Freimaurerei*, str. 160.

[14]) *Panteon*, III 470.

[15]) Tamże, III 797.

[16]) *Die Freimaurerei*, str. 154.

[17]) Wł. Horodyski, *Bronisław Trentowski*. Kraków 1913. Akademia Umiej., str. 283.

to kalwin, ni katolik, — ani kiedy się podawał za kalwina, ani gdy się przyznawał do katolicyzmu, ani nawet wtenczas, gdy po myśli i woli autora *Przedświtu* występował w obronie katolicyzmu, — nie był w gruncie rzeczy ani katolikiem, ani nawet chrześcijaninem: był „najczystszym teistą" i wraz z „braćmi" reformowanej loży fryburskiej „*Zur edlen Aussicht*" taki teizm uznawał za klucz jedynie rozwiązujący zadania człowieka i ludzkości w dziejach.

W jaki zaś sposób ten człowiek, autor wielu dzieł i mnóstwa listów, uczony, nauczyciel, publicysta i czynny polityk, zdołał tak się zakonspirować, potrafił tak zręcznie przelawirować między dwoma stanowiskami: jednym, egzoterycznym, na pokaz dla szerszego otoczenia i dla narodu, drugim, długo tajonym, ezoterycznym, rozwiniętym dopiero do użytku dla braci lożowych,—to już jest niepojętą tajemnicą tego filozofa o janusowym obliczu.

*

Kiedyśmy już sięgnęli do tej interesującej a tak wytrwale pomijanej książki Trentowskiego, warto na zakończenie poświęcić parę uwag dalszej jej treści. Pozwoli to nam zorientować się, jak się powiodło zamysłom organizacyjnym autora, opartym na takiej zaprawie teozoficznej. Po filozofii masonerii następuje tam krótko ujęta jej historia, wreszcie dłuższa rozprawa autora z „wynaturzeniami" organizacji.

W części historycznej Trentowski od siebie niewiele ma do powiedzenia. Bierze dane cyfrowe i szczegóły z drugiej ręki, przeważnie z broszury „brata"-anonima, *Adhuc stat*. Co najwyżej uzupełnia tę przed paru laty (ok. 1863 r.) wydaną publikację nowszymi informacjami. Po krótkim nakreśleniu dziejów zarówno idei wolnomularskiej (wywodzonej ze staroegipskich misteriów), jak dzisiejszej formy jej organizacji (od r. 1717), rozwija autor obraz nowoczesnego rozrostu lóż we wszystkich częściach świata. Liczy ich: w Stanach Zjednoczonych 4713, w Anglii 1636, w Niemczech ponad 280, w Rosji 5 i t. d., na całym świecie 8.258 lóż z 4 milionami członków. Statystyka z r. 1868.

Po tym zarysie przechodzi Trentowski do spraw, na których mu głównie zależało: do uzasadnienia fryburskiego projektu reformy ustroju wolnomularstwa. Projekt ów wyrażał się w kilku zasadniczych punktach; autor usiłował podważyć kilka założeń, związanych wcale istotnie z dotychczasowym charakterem „zakonu". Niektóre tylko mogą dziś szerzej zaciekawić. W jaki sposób mają być ściągane składki członkowskie, jak rozdzielane, jak ma wogóle wyglądać gospodarka finansowa lóż, problem, czy na posiedzeniach używać fartuszków czy nie, to wszystko są zmartwienia zbyt drobne, by nas tu mogły zajmować. Mniej. też interesująca, zresztą z góry beznadziejna, była kampania przeciwko zasadzie tajności.

To co najważniejsze, dotyczy hierachii samych lóż i hierarchii stopni lożowych. Tutaj Trentowski w imieniu braci fryburskich wystąpił z daleko idącymi planami reformy. Loża fryburska, jak się rzekło, była lożą niższą, miała trzy najniższe stopnie członków. Trentowski sam wyższych szczebli w hierarchii wolnomularskiej nie dostąpił. Otóż w książce swej przeprowadza on m. i. ostry atak na samą zasadę wyższego szczeblowania hierarchii.

Owe wyższe stopnie wtajemniczenia uważa on za narośl późniejszą na pierwotnej trzystopniowej strukturze organizacji. Pierwszy zaczął je wprowadzać A. Ramsay w r. 1740, tworząc t. zw. ryt szkocki; rozwijał dalej Cagliostro i in. W niektórych obrządkach ilość stopni dochodziła do kilkudziesięciu. Trentowski nie taił, że maskowano tam rozmaite zamysły polityczne, że loże wyższe zmierzały do tego, by stać się mocarstwami, wnikać w gry dyplomatyczne, prowadzić własną politykę. [18])

W całe to szczeblowanie uderza autor ostro. Uważa je za sprzeczne z podstawową zasadą braterstwa, za przeciwne prostej uczciwości organizacyjnaj. „Ponieważ członkowie wyższych stopni — pisze on za autorem broszury *Fiat lux* — zobowiązują się do zamilczania przed braćmi niższych stopni rzekomych tajemnic ich szczebli, — „braterstwo" związku nabiera osobliwego, w najwyższym stopniu odstręczającego oświetlenia; między braćmi rozkrzewia się z urzędu nieszczerość i nieufność". I jakżeż może obowiązywać przysięga wolnomularska o zachowaniu tajemnicy, składana wtenczas, kiedy sama tajemnica nie jest przysięgającemu znana? „Kiedy zaś poznam jej treść, może dusza ma odtrąci ją z obrzydzeniem?". [19])

Z impetem jeszcze większym powstaje Trentowski na hierarchię lóż. Wprawdzie polemizując z katolicką publicystyką antymasońską zapewnia on, że między lożami niema hierarchii układu ni subordynacji, że cieszą się one pełną autonomią. W szczególności niema, jego zdaniem, ponad lożami władzy zwierzchniej, najwyższej Rady, t. zw. Firmamentu. Ale pisząc to, jakby nie pamiętał, co sam powiedział kilkadziesiąt stronic przedtem. Czytamy tam ostre jego inwektywy na ucisk w lożach niższych, ściśniętych rygorami karności i posłuchu wobec wyższych, na atmosferę serwilizmu. Sarkał Trentowski na cenzurę, wykonywaną przez „mistrzów katedry", samowładnych jak „baszowie lożowi" a przy tym „nie zawsze najwykształceńszych", i z ironią mówił o wolnomularskiej „świętej inkwizycji", o szpiegostwie i denuncjacjach, kwitnących w tej atmosferze nacisku z góry, o „cerberach" oszczekujących zjadliwie każdą myśl o naprawie itp. [20]) To wszystko tyczyło stę stosunku wyższych władz lożowych do jednostek.

Czy zaś w stosunku wzajemnym samych lóż obowiązuje hierarchia i karność, jak tam naprawdę jest z tą „autonomią", — o tym reformatorzy fryburscy i ich koryfeusz przekonali się najlepiej na własnej sprawie.

Dzieło reformy w loży „*Zur edlen Aussicht*", opracowanie nowego rytuału, było możliwe dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że loża-matka w Bayreuth, zwłaszcza zaś jej w. mistrz Feustel, zajęli życzliwe wobec niej stanowisko. Ale zarzewiu reformy nie pozwolono tlić się długo. Dn. 31 maja 1868 zebrał się w Berlinie zjazd wielkich mistrzów Niemiec (w nieobecności w. m. Feustla), którego decyzji poddane zostały zasadnicze wytyczne zreformowanego rytuału fryburskiego. Ze-

---

[18]) *Die Freimaurerei*, str. 293. „*Die Grosslogen wollen aber den Grossmächten gleichen, eigene Politik treuben und eigene diplomatische, den Sterblichen unbergreifliche Weisheit besitzen*".

[19]) Tamże, str. 276 i n.

[20]) Tamże, str. 291 i n.

brani ujęli je w pięć głównych pytań i na wszystkie jednogłośnie odpowiedzieli „nie”, odrzucając w ten sposób *a limine* cały przedłożony projekt reformy. Z nietajoną goryczą przedstawia Trentowski przebieg tej rady wielkich mistrzów. [21])

Trudno było o boleśniejszy dowód hierarchicznego porządku i karności w państwie lóż. Ktoś przecież musiał ten zjazd berliński zorganizować, ktoś dał do niego inicjatywę, nakaz, ktoś tam reprezentował myśl tradycyjnej nienaruszalności ustroju, dziejowy ciąg wolnomularskiej myśli kierowniczej. Oczywiście z tytułu władzy zwierzchniej. Najwyraźniej zatem jakaś istnieje.

Tak więc Trentowski umierając oglądać musiał ruinę owoców 30-letniej pracy swej w loży: przyszłość „rytuału fryburskiego” została przesądzona w sensie negatywnym. Książka, która jest jego obroną, była obroną sprawy straconej. Pod tym względem ma ona ściśle i nie szeroko zakreśloną wartość historyczną.

Czy wyraża ona pozatem (w części pierwszej), jak autor mniemał, właściwą filozofię wolnomularstwa, prawowierny — by tak rzec, — dla braci w lożach obowiązujący pogląd na świat, kanon religijny, o to mniejsza. Wyraża w każdym razie spełna pogląd filozoficzny samego autora. Zwłaszcza poglądy religijne, teozoficzne, wyraża bez krępowania się, bez osłonek i niedomówień, z wyzywającą szczerością, jak żadne inne z dzieł tego autora. [22]) W tym jego wartość główna.

[21]) Tamże, str. 298 i n.

[22]) Część rozprawki powyższej, w krótszej redakcji, ogłoszona była w *Kurierze Poznańskim* nr. 344 i 368 z r. b.

STANISŁAW PIGOŃ

POLSKO-CZESKIE STOSUNKI KULTURALNE

II

W R. 1937 mamy do zanotowania niebylejaką manifestację polonofilską ze strony wydawców czechosłowackich. Oto słowacka oficyna wydawnicza L. Mazacza w Pradze, zachęcona przez posła czechosłowackiego w Warszawie dr. Juraja Slavika, wydała w przepięknej szacie graficznej 10 tomów literatury polskiej współczesnej w przekładzie czeskim.

„*Polska knihovna*” rzeczywiście zaprezentowała się na tutejszym rynku księgarskim wspaniale, dając w dziesięciu tomach charakterystyczny wybór powieści, nowel i poezji polskiej (pomijając niestety pisarzy kierunku narodowego w Polsce), a mimo wytwornej i artystycznej formy graficznej oznaczając cenę za pojedyńczy tom dość przystępną.

W serii tej wydano utwory: Juliusza Kaden-Bandrowskiego „Miasto mojej matki” (*Mesto me matky*), Marii Dąbrowskiej „Ludzie stamtąd” (*Podruzi*), Zygmunta Nowakowskiego „Przylądek Dobrej Nadziei” (*Mys dobre nadeje*), Marii Kuncewiczowej „Cudzoziemka” (*Cizinka*), Jana Karnika (antologię poezji polskiej) „*Poesie svobodne Polsky*”, Zofii Nałkowskiej „Granica” (*Hranice*), Wacława Berenta „Żywe Kamienie” (*Zive kameny*), Jarosława Iwaszkiewicza „Panny z Wilka” (*Slecny ze statku*), Jana Parandowskiego „Dysk olimpijski” (*Olimpijsky disk*), i Piotra Choynowskiego „W młodych oczach” (*Mladyma ociwa*).

Jest to dopiero początek jaki uczynił w wydawaniu polskiej beletrystyki dzielny, ideowy i prawdziwie polonofilsko nastawiony wydawca praski, sympatyczny Słowak, L. Mazacz. Jeżeliby ktoś zarzucił, że w tej serii brakuje nazwiska Sienkiewicza, Prusa, Reymonta czy Rodziewiczówny albo innych pisarzy wybitnych, to na usprawiedliwienie należy zaznaczyć, że Sienkiewicz, Orzeszkowa, Gąsiorowski, Prus, Reymont, Danilowski, Dąbrowski, Dygasiński, Gomulicki, Goetel, Jeske-Choiński, Makuszyński, Mniszkówna, Ossendowski, Perzyński, Przybyszewski, Rodziewiczówna, Sieroszewski, Weyssenhof, Zapolska, Tetmajer czy Żeromski są prawie że całkowicie tłumaczeni. W takich warunkach rzeczywiście trudny jest wybór, zwłaszcza, że wszystkie księgarnie nakładowe tłumaczą z polskiej literatury i chętnie wydają polskie rzeczy.

Nie jest L. Mazacz pierwszym wydawcą serii przekładów czeskich z literatury polskiej. Zapoczątkowała takie cykle słowiańskie jeszcze w 1861 r. znana księgarnia praska i wiedeńska Ignacego L. Kobra p. n. *Slovanske Besedy*, którc redagował znany poeta Witiesław Halek. Wydano w tej serii 3 opowieści polskie (2 Kraszewskiego i 1 Czajkowskiego). Po przerwie ośmioletniej od r. 1864 powstawały i zanikały podobne wydawnicze serie, jak „*Matice Slovanska*” o zabarwieniu rusofilskim, (od r. 1872), *Anglicko-slovanska knihowna* (od r. 1887), „*Slovanske divadlo*” (od r. 1881, gdzie drukowano utwory teatralne Bałuckiego), „*Slovanska knihowna*” (od 1883 r. drukowano Orzeszkową), „*Ruska knihovna*”, (F. A. Urbanka w Pradze od 1884 r.), „*Ruska knihovna*” (J. Otto od 1888 r.), „*Matice Slovanska*” na Morawie (od 1893 r., gdzie pomieszcza nowele polskie), „*Besedy slovanske*” w Brnie pod red. Barwicza (gdzie w latach 1893-5 opublikowano szereg opowiadań polskich), „*Slovanska knihovna*” A. Czernego (1901), „*Moderni autori slovansti* ”F. Hovorki (1901-6), „*Serbska knihovna*” A. Eckerta, „*Rudolfova knihovna bulharska*” w Gródku Królowej (1907-9), „*Slovanska knihovna*” (1908-11), „*Ruska knihovnicka*” (1911), „*Knihovna Ruskeho obzoru*” V. Mencla, „*Ruske povidky*”, „*Kvete Zeme*” (1919-24), „*Poznejme Ukrajinu*” (1920), „*Ruska kniznice*” „*Mladych Prody*” (1921), „*Cesko-luzicka knihovnicka*” (1922-37), w oficynie księgarskiej B. Koci w latach 1923-5: „*Knihovna L. N. Tolsteho*”, „*Ruska kniznica*”, (Turcz. św. Marcin), „*Ruska kniznica*“ (w Bratisławie), „*Jihoslovanska knihovna*“ T. Sztanglerowej w Koszycach (1924), „*Slovanska knihovna*“ prof. J. Polivki (1924-5), „*knihovna „Slovana*“ (prof. dr. V. Sztiepanka), „*Ruska divadelna kniznica*“ (od 1926 r.), „*Cesko-ukrajinska knihovna*“, „*Nova ruska knihovna*“ (Melantrich), „*Knihovna Slovanskeho ustavu*“ (z szeregiem uzupełniających serii wydawniczych itd.).

Do r. 1932 od 1861, jak to obliczył docent dr. A. Frinta (*Sl. Prehl.*, XXIV,357) na rynku wydawniczym czechosłowackim pojawiło się tylko 45

różnych bibliotek i serii, poświęconych Słowiańszczyźnie.

Publikowaniem przekładów z literatury polskiej specjalnie pierwsza zajęła się *„Polska knihovna"* wydana przez E. Beauforta (ur. w 1860). Biblioteczka ta wychodziła w tygodniowych zeszytach od 1902 do 1906 r. w Pradze. Ogłosiła ona szereg powieści Prusa, Reymonta i innych w bardzo starannym przekładzie czeskim. Wydawca Edward Beaufort, z pochodzenia Francuz, z przekonań realista i postępowiec był szczerym miłośnikiem kultury polskiej. Kontynuatorem pracy Beauforta był czeski literat i zarazem tłumacz Henryk (*Jindrich*) V. Alexander (ur. w 1867 r. w Pradze); był on z zawodu nauczycielem i działaczem sokolskim. Jako beletrysta czeski pisał pod pseudonimem J. V. Hradczanskiego lub Alexa Brojnickiego. On to w latach 1906 — 1915 redagował edycję *„Slawska kniznice"*, która wychodziła jako dodatek do ilustrowanego dwutygodnika praskiego *„Zvesti"*. Wiele tu znajdziemy tłumaczeń polskich powieści i nowel. Jako miesięczne znów wydawnictwo zeszytowe była pomyślana *„Knihovna Slovanskych Autoru"*, gdzie pod redakcją Stanisława Minarzika w l. 1908 — 11 wydano 14 tomów tłumaczeń, ale w tym jeden tylko polski (Aleksandra Świętochowskiego w tłum. J. Rozvody *„Klub sachistu"* w 1910 r.).

Drugą próbę polskiej biblioteczki podjął Franciszek Hovorka (1857 — 1917), który wiele przetłumaczył dramatów polskich a w czasie wojny nawet w Pradze zorganizował sekretariat czesko-polski. Hovorka ograniczył się jednak do wydania broszury o Kraszewskim swego pióra a zapowiadanych tłumaczeń niestety nie wydał. Było to w r. 1912. W dwa lata później księgarz St. Minarzik wznawia swą edycję *„Knihy slovenskych autoru"* i na 9 tomów wydanych aż 3 poświęca Przybyszewskiemu, a od drugiej połowy 1918 r. do 1924 r. tenże sam wydawca w odnowionej edycji *„Knihy Zeme"* publikuje przekłady znowu St. Przybyszewskiego i J. Bandrowskiego. Od r. 1925 edycja ta zmienia swą nazwę na *„Minarzikowa knihovna"* i drukuje przekłady powieści Przybyszewskiego i Reymonta oraz innych autorów. W dwa lata później przybywa temu wydawnictwu konkurencyjna edycja Emeryka Czecha, zasłużonego polonofila i autora słowniczka polsko-czeskiego. Nie jest to literat zawodowy, raczej wyższy urzędnik kolejowy, ale mimo to zasłużony tłumacz literatury polskiej. W stworzonej przez siebie edycji *„Slovanska knihovna SLAVIE"* ogłosił przekłady powieści i nowel Nałkowskiej, Germana, Makuszyńskiego i innych. W rok po nim (1928) literat i bibliofil morawski O. F. Babler (ur. w 1901) we własnej serii i przekładzie drukuje Ballady E. Zegadłowicza.

W tym zestawieniu pominęliśmy różne próbki czytankowe, jako raczej podręczniki do nauki języka polskiego (np. B. Vydry biblioteczka - polsko-czeska) i przekłady polskie ogłoszone w powszechnych a nie specjalnie z nastawieniem wzajemności słowiańskiej wydawanych zbiorach.

Nikt jednak z dotychczasowych wydawców i propagatorów polskiej literatury tak szybko, tak wiele w krótkim czasie, tak starannie pod względem językowym i artystycznie pod względem szaty graficznej nie wydawał i nie wydał, jak właśnie księgarnia L. Mazacza w Pradze.

Jako tłumacze w edycji Mazacza wzięli udział najlepsi znawcy języka polskiego i zarazem doskonale władający literackim językiem czeskim. Najwartościowsze literacko są tłumaczenia dr. J. Becki (tłumaczył Nowakowskiego) i prof. V. Dreslera (tłumaczył Iwaszkiewicza i Choynowskiego). Z innych tłumaczów wymienimy Jar. Janoucha i H. Teige, najmniej znanych na tym polu, świetną J. Minarikową, zawsze poprawnego dr. B. Vydrę, byłego lektora języka czeskiego na Uniwersytecie Warszawskim oraz Wacława Kosnera, byłego redaktora „Czeskiego Dziennika" z Pilzna, wybitnego narodowego demokraty czeskiego i zasłużonego wydawcy pierwszej czeskiej monografii powojennej o Polsce (1923).

Za najwybitniejszego z tej plejady tłumaczów uchodzi znakomity publicysta Wacław Dresler, który po ukończeniu uniwersytetu krakowskiego stale zajmował się sprawami polskimi, a od 27 lat już przebywa w Polsce. Ogłosił on 14 książkowych prac o Polsce, bardzo wiele tłumaczył i napisał, jak to swego czasu podawała cała prasa agrarna w Czechosłowacji, przeszło 10.000 artykułów o Polsce. Ponieważ działalność literacką w duchu polonofilskim rozpoczął w 1897 r. jeszcze jako uczeń gimnazjalny, więc w r. b. mija właśnie czterdziestolecie jego szlachetnej działalności, w której przerósł nawet Adolfa Czernego, a nawet Edwarda Jelinka. Redaktor Dresler w dużym też stopniu dopomagał L. Mazaczowi w zorganizowaniu jego edycji polskiej.

Prawdziwą perłą i ozdobą Mazaczowskiej Kolekcji jest świetnie dobrana i piękną czeszczyzną przełożona antologia poezji polskiej.

Najzasłużeńszym był niezapomniany Franciszek Kvapil, autor przeszło tysiącstronnicowego tomu przekładów z poezji polskiej i prawdziwy ambasador ducha polskiego w Pradze, jak go przywykł nazywać nieboszczyk Zdzisław Dębicki. Po śmierci Kvapila (1925), którego najbliższym przyjacielem i doradcą oprócz Dębickiego był Antoni Lange, najwięcej żywotności przejawiał żyjący patriarcha polonofilów praskich poeta Adolf Czerny (piszący jako Jan Rokyta). Obecnie prawie bezpośrednio po ukazaniu się małej antologii polskiej w przekładzie na język słowacki Andrzeja Żarnowa — w edycji Mazacza pojawia się wielka, bo prawie trzystustronnicowa antologia poetów Polski Niepodległej od Jana Kasprowicza aż do Wojciecha Bąka. Mistrzowskim tłumaczem jest dr. Józef Svitil (pseudonim literacki — Jan Karnik), którego działaluość polonofiska w dziedzinie literatury i publicystyki zwłaszcza w całej prasie czesko-katolickiej jest bardzo w polskich kołach katolickich ceniona. W dzisiejszych czasach powszechnego zmaterializowania i zachmurzenia horyzontów politycznych świetlana postać idealistycznego polonofila zasługuje na szczególne wyróżnienie. Jakże przypomina on swą szlachetną działalnością dawno zmarłego, lecz nigdy niezapomnianego przyjaciela Polaków w Czechach, Edwarda Jelinka. Sędziwy już, bo liczący 67 lat, dr. Svitil-Karnik jest z zawodu lekarzem i zamieszkuje w Nowym Mieście na Morawach, a publicystyką katolicką i narodową zajmuje się w wolnych chwilach od zajęć. Przed dziesięciu laty napisał on spory tom szkiców o Polsce p. t. *„Pod peruti bileho orla"* (Olomouc, R. Promberg, 1926).

30. 7. 1937 r. LUMIR

NA WIDOWNI

Grafomania polityczna. — Efemerydy i kombinatorzy.— „Lufciki" na przestrzał. — Komunizm kombinowany z nacjonalizmem. — Nacjonalizm powinien sam rozwiązywać zagadnienia społeczne. — Snobizm i papugizm.— Sanacja zdewastowała dusze.

POLSKA ni stąd ni z owąd weszła w okres pisaniny i druku. Będzie ten okres zanotowany w historii, jako wiek bibuły. Wszystko na piśmie, jak przystoi na czasy panowania biurokracji.

Nie podobało się, że społeczeństwo zbyt swobodnie wypowiada się w parlamencie, więc z izb ustawodawczych spróbowano zrobić kółko towarzyskie ludzi zaufanych, nie związanych mandatem reprezentowania kogokolwiek. Życie jednak nie da się zahamować, szuka innych sposobów wypowiadania swych potrzeb i aspiracyj. Przypomniano więc sobie wynalazek Gutenberga.

— Piszmy więc! — jak mówi Aniela w „Ślubach Panieńskich".

Piszmy więc i drukujmy! — rozległo się wołanie po całym kraju. Urząd od tej chwili wszystkie dni, wolne od uroczystych reprezentacyj, urlopów i podróży, poświęcać musi czytaniu. Lektura przeważnie miła, bo najczęściej są to listy. miłosne, a gdyby co było przykrego, to usunie cenzura.

Dawniej naradzały się stronnictwa, co ich delegaci w Sejmie mają powiedzieć. Kto nie miał swej reprezentacji w Sejmie, ten siedział cicho, albo zapisywał się do stronnictwa. Teraz każdy ma wolny dostęp do *forum* publicznego za pomocą druku.

Kto się poczuł mocny w piórze, ten odprysnął od stronnictwa, do którego należał, aby się swobodniej wypisać. Rzucono się do zakładania czasopism. Lepiej ustosunkowani założyli dzienniki, wymagające pewnego funduszu i przynajmniej kilku dziennikarzy; inni — pozakładali tygodniki, miesięczniki. Zdawało się na wiosnę, że powódź atramentu doszła już do swego absurdu. Ale pokazało się, że w lipcu ogórkowym zgłoszono w Komisarjacie Rządu m. Warszawy jeszcze 40 nowych czasopism.

Ile tytułów, ilu redaktorów — tyle stronnictw. Niektóre liczą wraz z redaktorem po cztery, pięć osób.

Nieszczęśliwi są drukarze, bo to robota na weksle, płatne z chwilą dojścia stronnictwa do rządów. Ale i drukarz też człowiek. też ma aspiracje polityczne.

Ponieważ i sfery „miarodajne" też mają serce nie kamień, ponieważ wszystkim się nudzi w ascezie politycznej, ponieważ jest duszno i każdy rad zachwycić trochę ozonu z powietrza, więc i z tamtej strony nie zbywa na oddźwiękach miłosnych. Wszyscy się wabią—istny sen nocy letniej. Tak to są i Tytanii umizgi. A może to po prostu marzec; pełno kotów i kocurów na dachach. Może to wiosna się zapowiada.

— — — — — — — — — — — — —

Tytania naszych czasów jest uosobieniem tajemnych dążeń politycznych, politycznych pongt i ciągot; na usługach swoich ma nieznane Szekspirowi Efemerydy. Jętki te, istoty bardzo wątłej budowy, mają żywot dziwnie krótki. Uskrzydlają się odrazu, porzucając stan poczwarki, różnego formatu publikacjami. Ponieważ każda mieni się od barw, więc pejzaż naszych wód stojących i sitowi, w słońcu powszechnej szczęśliwości, przedstawia się nie tyle wesoło, ile pstro.

Niema efemeryd jednobarwnych; są łaciaste, w kratkę, w najlepszym razie jedno skrzydełko biało-narodowe, drugie srogo czerwone, bo socjalistyczne. I to jest charakterystyczne dla obecnego sezonu politycznego, że życie nie ma krwi jednobarwnej, lecz kombinuje swe barwy przez zestawienie ideałów tak, jak się robią flagi na galówkę. Wynika to stąd, że programy powstają nie jak dawniej organicznie, lecz apriorycznie. Są owocem kombinatorstwa.

Kombinacja zastąpiła dawny proces ideologowania, nurtującego długo w duszach, zanim znalazło wyraz w programie partyjnym. Nową ideę zwiastowały: poezja, studia naukowe, pełna poświęcenia siejba ideowa „w terenie". Teraz redaktorzy danej efemerydy kładą na stół próbki rozmaitych idei, czy mapkę prądów istniejących i kombinują hasła, jakieby najmilej wpadły w ucho mas, jakiej barwy ludzie mogliby w tej koniunkturze zrobić karierę. Stawiać na hazard nie warto, najlepiej obstawić wszystkie kolory.

Według mapy prądów skalkulowano, że świat ustawia się we dwa zasadnicze fronty: nacjonalistyczny i t. zw. lewicowy (socjalistyczno-komunistyczny). Inne fronty nie mają szans, ale gdy się połączy te dwa główne, to szansa będzie 100 procentowa. Trzeba tylko nie dać się przelicytować; skoro jazda, to już na całego.

— A kogóż macie za sobą?

— Nikogo narazie, ale właśnie obliczamy, jak zabrać publiczność z tamtych dwóch frontów.

— — — — — — — — — — — —

Wskażę dla przykładu jętkę „Jutro Pracy". W bibliotece tego czasopisma (grupy politycznej) ukazał się, teraz zbiór artykułów czołowego pisarza grupy Wacława Budzińskiego p. t. „Lufcik na świat". Nadtytuł książki: „Pod znakiem nacjonalizmu".

Autor w wyciągu programowym ze swych artykułów („Rewolucja narodowa") daje poprawny wykład zasad programowych Str. Narodowego, ale ten program mu nie wystarcza. Przelicytowując go nadaje nacjonalizmowi polskiemu nieznany mu motyw. „Drży w nim — według autora — na dnie drapieżny instynkt zaborcy"... (297).

Przelicytował, ale przeskoczył granice i prawdy i polityczności. Nacjonalizm wszakże nie wystarcza nawet tak radykalny, trzeba dodać coś w kierunku socjalnym. Więc poprostu do nacjonalizmu przyszyć socjalizm, nawet komunizm. „Nacjonalizm — tłumaczy autor — musi dbać o dobrobyt i szczęście mas, musi być radykalny. Nacjonalizm jest właściwie ochrzczonym socjalizmem"... (300).

Idziemy więc dalej niż Hitler ze swoim nacjonal-socjalizmem, tutaj bowiem mamy właściwie nacjonal-komunizm Doriota. Najnowszy model paryski.

Modne staje się kombinowanie: 1) narodu i 2) „mas". Jakby masy nie były narodem. Jak widzieliśmy, radykalizmem jest już myślenie samo „o dobrobycie i szczęściu mas". Według tych prymitywnych wyobrażeń trzeba iść na lewicę, aby umieć myśleć o dobrobycie i szczęściu mas!

Niechajże ten kombinowany narodowiec poprosi lewicę o pomoc w polszczeniu miast przez wprowadzanie ludu wiejskiego do handlu i rzemiosła. Socjaliści, jak wiemy, zmobilizują przeciw niemu robotników do walki krwawej w obronie interesów żydowskich.

Ale taka już moda. Płk. Kowalewski w najnowszym programie Ozonu zapowiedział również, że organizować będzie prawicę z lewicą pod znakiem nacjonalizmu, PPS bowiem jest stronnictwem narodowym, jak o tym świadczy pierwsza litera jego marki.

Ludzie jutra otwierają nie jeden, lecz dwa „lufciki" na przestrzał, czym powodują „cug", a od cugu podobno „szlag" może nas trafić.

— — — — — — — — — — — —

Trzeba się zdecydować, czy Polskę chcemy zrobić państwem narodowym, czy też ma być ona państwem socjalistycznym. „Przechrzcić" Marksa nie jest rzeczą możliwą, podstawą bowiem jego nauki jest materializm, podczas gdy budowa nacjonalistyczna w zasadzie swojej ma motywy idealistyczne. Jako państwo narodowe w dobrze zrozumianym interesie trwałości i mocy dziejo-twórczej Polski zagospodarujemy się według zasad sprawiedliwości społecznej, ale to nie będzie marksizm, choćby przybrał literę P. do swego zawołania.

Powie mi ktoś przez lufcik, że jednak 40 lat temu ruch narodowy wszechpolski, z gruntu nacjonalistyczny, przybrał nazwę demokratyczno-narodowego; dla czegóżby teraz państwo Polskie nie mogło przybrać postaci narodowo-komunistycznej? Przede wszystkim ruch narodowy wtedy nigdy nie nazywał się narodowo-demokratycznym ruchem, był demokratyczno-narodowym ruchem — to wielka różnica. Powtóre demokratyzm ówczesny — w braku lepszego słownictwa — oznaczał jedynie, że nowy ruch liczy się z faktem udziału mas ludowych w życiu narodu, nigdy zaś nie wysuwał postulatu „demo-kracji" jako władztwa ludowego w państwie. Myślało się wtedy o ludzie, jako składniku organizmu narodowego, źródle jego sił żywotnych. Było to ujęcie raczej socjologiczne, niż socjalne, i nie ustrojowe w znaczeniu polityczno-państwowym.

W miarę precyzowania się pojęć politycznych w kraju stronnictwo dla uniknięcia nieporozumień porzuciło tę nazwę i zwało się jakiś czas Związkiem Ludowo-Narodowym, a potem, gdy przyszedł czas odpowiedni na sprecyzowanie zasad nacjonalistycznych, nazwało się poprostu Stron. Narodowym. Ta ewolucja odpowiada etapom historycznym ruchu. W dziejach tych jednak kwestia ludu zawsze była zagadnieniem narodowym, nie zaś socjalnym, w każdym razie nie mającym nic wspólnego z marksowską koncepcją ludu, jako proletariatu. Taki charakter miała kwestia ludu od końca rozbiorów po nasze czasy, znaczona w swoich etapach nazwiskami Kościuszki, Brodzińskiego, Mickiewicza, Staszica, Konarskiego i bliższych tego ruchu poprzedników.

Może zainteresuje to dzisiejszych eklektyków politycznych, jak prosto budowany był program dem. narodowy przed kilkudziesięciu laty. Oto zasada jego konstrukcji: Powiedziano sobie tak:

„Zasady stronnictwa wynikają z uznania... dwóch faktów: a) Naród Polski bez względu na podział polityczny ma poczucie swojej jedności, ma swe interesy ogólne... jest więc narodem politycznym i jako taki ma potrzebę wspólnego, samoistnego bytu państwowego.

b) ...naród nasz rośnie w siły, rozwija się i postępuje, a główną podstawą tego wzrostu jest kulturalny i polityczny postęp, odbywający się szybko w naszych masach ludowych.

Oto cała filozofia demokratyczności ruchu nacjonalistycznego w Polsce. Jest on demokratyczny z genezy swojej, wypływa z faktu organicznej tożsamości ludu i narodu.

— — — — — — — — — — — —

Kombinatorzy polityczni naszej doby dotknięci są manią dyktatorskiej cudotwórczości; wydaje im się, że dzieje można improwizować, przez narzucanie społeczeństwu programów dowolnie skleconych z „przebojów" każdego istniejącego obozu. Jest to prymityw polityczny, wzorowany na manierze sanacji, która dysponując zasobami i machiną państwa, była przekonana, że wszystko można kupić.

„Pod znakiem nacjonalizmu" iść w ten sposób nie można — wszystkiego trzeba się dorabiać. Ruch narodowy pociąga masy nie ponętami materialnymi, nie w imię korzyści klasowych, lecz w drodze kultury, przez podnoszenie mas na poziom, gdzie obowiązuje patriotyzm czynny i myśl polityczna. Nacjonalizm wprowadza masy do gospodarki narodowej na prawach spadkobrania historycznego, wprowadza ludzi z kulturą polityczną, jako gospodarzy. Przeciwny mu jest przewrót jako rozdrapanie dóbr, nie dający żadnej gwarancji, że on wzmoże siły twórcze narodu. Przykład Rosji jest odstraszający.

Smutny stan umysłów współczesnych, nie sromających się snobizmu politycznego i papugizmu, jest rezultatem dewastacyjnej gospodarki sanacji. Gdyby nie zdrowy instynkt mas narodowych, który złe wpływy przezwycięża i ulotek-efemeryd, z tej obłąkanej wieży Babel rozrzucanych, na serio nie bierze, — smutny byłby los Polski.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POZYCJA CZECHOSŁOWACJI.

Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na zmiany zachodzące w sposobie myślenia i postępowania Czechosłowacji. Do tej pory uważaliśmy ją wszyscy i jeszcze nadal uważamy za państwo prowadzące politykę Francji na linii Dunaju i krajów przyległych. I nie mylimy się w dużej mierze. Chodzi tylko o definicję dzisiejszej Francji.

Oparcie się o możnego suwerena wysunęło Pragę naprzód ponad miarę, dało jej pierwszą pozycję w Małej Entencie, reprezentowanie tego zespołu w radzie Ligi Narodów. Ważkie więc plenipotencje torowały drogę, ale czasami i hamowały zapędy — dowodem chociażby ostatnia konferencja w Sinaia i sprawa powstrzymania się przedstawicieli Jugosławii, Rumunii oraz oczywiście Czechosłowacji z uznaniem oficjalnym aneksji Abisynii przez Włochy. Powstrzymanie się do czasu wypowiedzenia zdania Genewy, czyli „za panią... wdową pacierz...". O tym już głośno. Jest to tajemnicą poliszynela.

Bądźmy ściślejsi. Przyglądając się polityce kiedyś Benesza, dzisiaj zaś Krofty zastąpmy z całą śmiałością słowo „Francja" słowem „masonerja"

(owa definicja) a będziemy bliżej rzeczywistej oceny sprawy, o co każdemu politykowi musi chodzić przede wszystkim. Bliżej... ale blisko już chyba zupełnie i w pozycji zezwalającej na wysnuwanie ostatecznych wniosków znajdziemy się, gdy poobserwujemy nieco zacieśnienie węzłów między Pragą a Moskwą. Znana wszystkim sprawa baz lotniczych sowieckich na terenie czeskim? — Ależ to wstęp tylko. Dzisiaj wysiłki dyplomacji czechosłowackiej i sztabu zmierzają do jeszcze większej koordynacji ze Związkiem Sowieckim, łacno też obie instytucje stać się mogą narzędziem już nie Paryża. Zresztą — poco brać towar z drugiej ręki?

Pobudki działania Czechosłowacji są jasne: rozrost niepomierny ambicji aż do pragnień aneksyjnych włącznie. W zapędach tych atoli nie widzi ona zupełnie, iż prowadzi politykę nie swoją, ale jest w dalszym ciągu narzędziem innego mocarstwa, po drugie zaś politykę samobójczą, właśnie w długim procesie historycznym nie opłacającą się, bo rozkładającą, niszczącą naród. Materialistyczny gatunek wychowania poczyna wydawać owoce — nigdzie bowiem chyba w żadnym kraju komunizm nie jest tak atrakcyjny, jak w Czechosłowacji. Nawet we Francji misja Z. S. S. R. mocno zbladła ostatnimi czasy po stalinowych represjach. „Żywie jeszcze Czechosłowacja".

Trzeba sobie z tego wszystkiego zdawać u nas sprawę, nie tylko ze względu na linię naszej polityki zagranicznej, ale także i ze względu na tendencje polityczne, prądy ideowe krążące wewnątrz kraju (*vide* ostatnie zaburzenia w Małopolsce). Wiadomo przecież skąd ruch ludowy czerpie u nas wzory i natchnienie. Wystarczy broszura Miłkowskiego, jedyny druk programowy, na jaki zdobyli się w Polsce ludowcy, niezwykle w koncepcje ubodzy. Zapatrzenie się na „ideał" agraryzmu, w przemyśle na wielkokapitalistyczny zakład „Baty", łączy się najściślej z pragnieniem nawrotu do polityki bezwzględnego sojuszu z każdą Francją, wszystko jedno jaką. Jak widzimy, całość zapatrywań polskich kół ludowych przedziwnie łączy się z całością linii polityki czeskiej. Pośrednictwo więc Pragi działa sprawnie i w nagrodę może się ona już w czasie niedalekim spodziewać zaszczytu zamianowania centralnym punktem światowej rewolucji. Hiszpania dzięki ustawicznemu naporowi wojsk generała Franco odrzuca z dniem każdym resztki funkcji, które miała spełnić, wzrok więc Moskwy poszukuje...

Sąsiadów naszych z Zachodu, Czechosłowację — ostrzegamy.

WOJEWODA JÓZEWSKI POZOSTAJE.

Dni ostatnie przyniosły szereg zarządzeń dokonywających zmiany na stanowiskach administracyjnych, a więc wśród wojewodów i starostów. M. in. powraca na Polesie pułk. Kostek-Biernacki, który korzystał z dłuższego urlopu, o czym było jakoś bardzo cicho. Gdy komunikat radiowy począł wyliczać spory procent osób, wszyscy „zastygli" w oczekiwaniu nazwiska wojewody wołyńskiego Józewskiego. Niestety, nie doczekano się.

Wojewoda Józewski jest jedynym obok wojewody śląskiego Grażyńskiego, będącym na stanowisku od lat wielu i prowadzącym swoją zupełnie indywidualną polityką, która nikogo nie jest zdolna zadowolić. Pomijając już wszystko inne, najważniejsze, że z polityki owej niezadowolony jest cały naród. I to chyba bez żadnych wyjątków.

Wołyń należy do najcenniejszych z ziem naszych i w kierowaniu niełatwych, zdajemy sobie wszyscy z tego sprawę, opinia też publiczna skora by była wybaczyć nie jeden błąd, ale nigdy nie daruje całego błędnego systemu, cieszącego się jakoś w centrali Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zadziwiającym pobłażaniem.

Wojewoda Józewski piastował kiedyś tekę ministra do spraw polskich w rządzie ukraińskim, od kilku lat jakby odrzucił rolę do której nie był wcale ani powołany ani upoważniony gdyż Rzeczpospolita w ustroju swoim i polityce mniejszościowej nie przewidywała wcale resortu poświęconego sprawom ukraińskim. Tak jest — nie przewidywała.

Jakie powody zdecydować mogły o zaniechaniu spodziewanej przez ogół zmiany na stanowisku kierownika Wołynia? Sądzimy, iż takie same, jakie podyktowały wszystkie inne zmiany obwieszczone w dniach ostatnich. Są one, jeśli przejrzymy listę mianowanych osób, dowodem wyczerpywania się rezerw ludzkich panującego w Polsce rok już dwunasty systemu. Tragiczna, zaiste, sytuacja. Czy można oczekiwać jakiejś poprawy w czasie najbliższym? Nie sądzimy. Garstka narybku świeżego, którą zdążył przyhołubić dopiersi pułkownik Koc, jest jeszcze bardzo, bardzo młoda.

Czas jednak nagli. Wobec dokonywających się zmian wokół nas, wobec nadmiaru inwencji u tych, z którymi zmierzyć się nam przyjdzie kiedyś niezawodnie, wobec ewolucji poglądu na świat, pozycję narodu, wobec poprostu wzrostu prądów nacjonalistycznych i to nie tylko w łonie społeczeństwa usposobionego opozycyjnie ale i w łonie niektórych kół rządowych, decydujących, bo z armii wyrosłych, wojewoda Józewski ze swą linią postępowania opartą na typowo XIX-wiecznych kategoriach myślenia, staje się jakimś anachronizmem.

Rozumielibyśmy polityką wołyńską jako fragment polityki polskiej specjalnego zupełnie gatunku. Gatunek ów jednak nikomu już dzisiaj nie smakuje i u nikogo nie znajduje aprobaty, nie stanowi — słowem — polityki oficjalnej, dowodem sprzeczne zupełnie działania wojewodów, którzy i na swoich ziemiach mają do czynienia z zagadnieniem ukraińskim.

Jak trudno to wszystko pojąć, zrozumieć! Pozostaje tylko uparte pytanie: „*Quo usque tandem?...*"

NAUKA i LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Okazały, zwiększony numer „Gazety Narodowej" w Częstochowie, który niedawno opuścił prasę, święcąc swój jubileusz pięcioletni, jest świadectwem nietylko pracy i rozwoju ruchu narodowego odrodzonego w Obozie Wielkiej Polski, ale także i jego charakteru.

Częstochowa była pierwszym środowiskiem miejskim na terenie województw środkowych, które masy swoje przepoiło ideą nowoczesnego nacjonalizmu i które potrafiło wytworzyć swój zespół kierowniczy o silnych ambicjach ekspansywnych, ambicjach jaknajzdrowszych i na szczęście zrealizowanych.

Jeszcze przed kilku laty w opinii wszystkich jedynie Poznańskie i Pomorze było „domeną endecji", a poza nimi połacie wiejskie łomżyńskiego i podlaskiego. Częstochowa pierwsza wykazała, że ruch narodowy nie stanowi jakiegoś zabarwienia regionalnego, za jakie go chcieli uważać przeciwnicy, by tym łatwiej ośmieszyć, ale że jest własnością wszystkich ziem i wszystkich warstw. Robotnicza dzisiaj, stutysięczna Częstochowa rozpoczęła energiczną walkę z żydostwem od pamiętnego czynu wyrwania mu handlu dewo-

cjonaliami. To był początek, zapowiedź dalszego rozwoju. Ale nie tylko na negacji, niszczeniu żydostwa i trwania w opozycji do panującego systemu politycznego, wyrósł ruch narodowy pod Jasną Górą — w pozytywnym charakterze przede wszystkim leży wartość tego środowiska, a do jednych z tych chwalebnych pozycji należy niewątpliwie wytworzenie zespołu kierowniczego, który zaważył na losach nietylko miasta i okręgu ale przepojony ambicją ekspansji wiele uczynił i gdzieindziej—w całej Polsce. Trzy nazwiska pozostaną z czasów owych w pamięci wszystkich, jako tych, którzy *magna pars fuerant*: Edmund Gliński, Stefan Niebudek i Władysław Pacholczyk.

Środowisko częstochowskie pracując i kształcąc ma za sobą dokonania poważne. Dokonaniem takim jest, obchodząca właśnie pięcioletni jubileusz, z groszowych składek proletariatu stworzona „Gazeta Narodowa", tygodnik, bez którego nie może się obejść żaden członek Stronnictwa pod Jasną Górą, który już wszedł w krew, na szczęście ustawicznie i żywo interesujący. „Gazeta Narodowa" przechowująca na swych szpaltach, mimo przeszkód wielokrotnych, mieczyk obozowy, jest wyrazem ufności i optymizmu mas walczących, których zawieść nie wolno. (N.)

*

Ukazało się nowe pomnożone znacznie wydanie M Arcta „Słowniczka ortograficznego i zasad pisowni polskiej" według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiej. z r. 1936. Cena tomu 243 str. wynosi tylko zł. 1.20, w broszurze 2.20.

Około 20.000 wyrazów stanowi ten zapas, którym operuje przeważająca większość książek, pism i dokumentów. Wykład zasad pisowni został bardzo rozszerzony w porównaniu z poprzednimi wydaniami. Dogodny układ „Słowniczka" pozwala na natychmiastowe odnalezienie potrzebnych prawideł, które sformułowane są w sposób możliwie nieskomplikowany i dokładny. Przy bardzo wielu wyrazach „Słowniczka" umieszczono objaśnienia ortograficzne, zwracając w ten sposób uwagę na odrębności nowych prawideł.

TEATR

„SZCZYGLI ZAUŁEK" G. B. Shaw'a

MOŻNA śmiało powiedzieć, że Shaw jest autorem najczęściej grywanym na naszych scenach; częściej niż jakikolwiek polski, dawny czy nowy. Wiele jego sztuk doczekało się w Warszawie nawet pra-premier, a gdy dziś te nowsze są też i coraz gorsze, sięga się z powrotem do starych — lepszych. Z iście więc warszawską predylekcją teatr „Mały" rozpoczął powakacyjny sezon „Szczyglim zaułkiem".

Jest to początek w każdym razie szczęśliwy, bo sztuka jest dobra i ciekawa, z tego rodzaju, co też dawniejsze „Major Barbara", czy „Pigmalion". Kasę napewno zrobi, a publiczność nie będzie wysłuchiwała płaskich i dwuznacznych dowcipów fars pół-brukowych, ale błyskotliwych *bonmot*, komedii z prawdziwego zdarzenia.

Shaw nie byłby sobą, gdyby nie zawarł w swej sztuce wielu elementów społecznych i polemicznych, dziś już nie tak mocnych zresztą jak dawniej. Ale bądź co bądź słuchając tych różnych zdań i przyglądając się różnym sytuacjom nie sposób zapomnieć, że tę komedię pisał gorący krytyk ustroju kapitalistycznego, i przynajmniej w słowach — rewolucjonista.

Rewolucjonista zresztą o niezbyt przekonywującej dialektyce, bo zbyt na nią sceptyczny. Trudno przyśpieszać tryumf jakiejś idei, bez wielkiej wiary w nią i człowieka. „Cyrulik Sewilski" i „Wesele Figara" były sztukami agitującemi, bo przedstawiciele słusznej, w pojęciu ich autora, sprawy, mieli za sobą nietylko tę społeczną słuszność, ale także i osobistą, reprezentując typy dodatnie z całą mocą przeciwstawione innym złym.

Tymczasem u Shawa tego niema. Syroliz z „Szczyglego zaułka", to nie żadna ofiara systemu społecznego, ale ktoś, komu się poprostu nie udało. Gdy się dorobił, cały łajdak wyszedł z niego. A gdy tak kreśli się ludzi, na nic wszelkie najbardziej podniecające frazesy,—bo co za interes w tem, by jednych łotrów zastępować drugimi. To też i dzisiaj nawet Beaumarchais, najdowcipniejszy autor *ancien-régime*'u, jest w tego rodzaju akcentach o wiele bardziej drażniący, od najdowcipniejszego autora powiktoriańskiej Anglii.

Zresztą, gdy już na tej komedii rozmyślać o rewolucji, to w Anglii obawiać się jej nie potrzeba, bo nie będzie jej nigdy tam, gdzie jednostka naprawdę zdolna może zawsze w ramach istniejącego ustroju wydostać się ze swoich nizin na szczyty. To cechowało i cechuje dotychczas ustrój angielski i w tych warunkach, w sytuacjach wewnętrznych o wiele gorszych niż np. Francji z r. 1789, wystarczyło parę dobrych praw, by nieuniknionemu zdawałoby się, przewrotowi zapobiec. Ale warstwy kierownicze miały tam zawsze poczucie swej misji, a lud poczucie swobody działania i dorabiania się.

Zadaleko byłoby jednak w ramach zwyczajnej recenzji zapuszczać się w te socjologiczne rozważania, ale kusi mię jeszcze tylko, podkreślić jeden rys podobieństwa z Polską, cechujący niewątpliwie Anglików,—a mianowicie znakomitą zdolność do zakłamywania się.

W sztuce Shawa takim zakłamanym typem jest Sartorius. I proszę się dobrze obejrzeć ilu u nas takich ludzi. Ile takich pra-cnót obywatelskich, ale tylko w pięknych słowach. Może coś jeszcze jakby dziedziczne idące od tych sejmikowiczów, co usta mieli pełne Ojczyzny, a ostatecznie nie o nią, a o swą prywatę i o swój marny spokój dbali.

Jeśli chodzi o grę aktorską i o wystawienie sztuki, to jedno i drugie jest dobre. Możnaby się conajwyżej tylko zastanawiać, czy p. Andryczówna utrafiła w Shawowską koncepcję Blanki. Sartorius p. Samborskiego był wprost doskonały, a przemiana Syroliza (p. Kondrata) zdumiewająca. Wykonawcy innych ról także dobrze wywiązali się z zadania.

F. P.

„TRZY ASY I JEDNA DAMA"

W SALACH Redutowych (teatr Nowy) wystawiono zabawną komedię a raczej farsę francuskiego autora Denys'a Amiel'a p. t. „Trzy asy i jedna dama". Asami są trzej dorodni synowie znakomitej artystki Lois Erland; każdy zresztą z innego pnia ród swój wiedzie.

Bowiem, jak słyszymy w kapitalnej scenie wywiadu do prasy, piękna i płocha Louis aż trzy razy zechciała mieć ulepszone przez siebie wydanie swych kolejnych towarzyszy doczesnej wędrówki.

Nie można powiedzieć, ażeby w ten sposób pomyślana, zracjonalizowana hodowla się nie powiodła. Najstarsza latorośl, Marceli jest nieodrodnym potomkiem swego ojca, giełdziarza i finansisty. Podobnie jak średni, Karol po następnym małżonku artystki, bokserze, odziedziczył wybitne uzdolnienia sportowe i uwodzicielskie. Jest i trzeci, Piotr — niezaradny życiowo artysta, syn podobnego sobie muzyka.

Oto trójka asów, — a gdzież dama? W osobie gościa pani domu, pięknej Coletty.

Potrzebna jest dla wypróbowania przez autora słuszności jego kwaskowatej teoryjki o naturze kobiety. Jeśli mu mamy wierzyć na słowo, dusza kobiety, niezmiernie zróżniczkowana i skomplikowana, składa się z szeregu szufladek, wysuwanych w miarę potrzeby i stosownie do okoliczności.

Mężczyzna nigdy nie posiada w swoim repertuarze tylu możliwości — i dlatego tak często musi być przez płeć piękną odmieniany.

Jakoż... Coletta ze smarkaczem i urodzonym naiwniakiem Piotrem błądzi po empirejskich dziedzinach muzyki, ale o innej porze, podczas dobrego śniadanka, z równą pasją oddaje się wspólnie z Marcelim lekturze kursów giełdowych. On teraz jest jej mistrzem i koniecznym dopełnieniem: tą drugą, lepszą połową jej duszy.

Tak jest z nią o poranku, gdy noc spędziła z trzecim asem, asem boksu i sportów wszelakich, Karolem. Któż teraz zaprzeczy zdaniu o złożoności kobiecej psyche?

Autor zręcznie maskuje cynizm swojej koncepcji porcją ciepełka, w stosunkach między przyrodnimi braćmi i matką, w poincie sztuki.

P. Lindorfówna (Colette) po nieprzespanej nocy promieniała radością życia. P. Maria Gella (Lois Erland) wiele istotnego zapału włożyła w scenę macierzyńskich czułości z Karolem. Karola grał p. Jerzy Śliwiński. W czerwonej pyjamie wyglądał niczem męska hurysa. Kieliszek w pierwszej scenie stłukł chyba „nieprzepisowo", tak „na szczęście". Dobry, o bogatej modulacji głos zaprezentował p. Lucjan Krzemieński (Marceli). P. Wyrzykowski z przejęciem markował grę na fortepianie. Przekład Julji Rylskiej. Reż. Antoni Cwojdziński. Dekor. St. Jarocki.

Sezon się jeszcze nie rozpoczął.

S. J.

„MIŁOŚĆ PRZY ŚWIECACH"

JUŻ PIĘĆ operetek wystawiają teraz teatry stołeczne. Nie wiadomo, na którą wpierw się wybrać.

Wystawiona w teatrze Letnim „Miłość przy świecach" R. Katschera jest t. zw. komedią muzyczną, z przewagą dialogów, ale operuje starym, wiedeńskim banałem operetkowym. Baron, młody szałaput i hulaka, służący — *alter ego* pana barona, nieodzowny mąż-rogacz, niewierna żona, subretka—oto stereotypowe figury w nie nowej bynajmniej komedii pomyłek.

Nowym jest pewien akcent społeczny, którego intencjonalność łatwo wyczuć w reżyserii oraz w tekście pierwszej piosenki—*exposé* baronowskiego lokaja przed kurtyną; widoczny jest w akcencie, położonym na dość komicznie się manifestujący kompleks niższości sługi wobec pana.

Jak zwykle w t. zw. komedii pomyłek tak i tutaj nie obeszło się bez przebierania: barona w liberię i Gastona w smoking. Szewc królem — a tym razem lokaj choć przez jeden wieczór w skórze (smokingu) barona, służąca-Kopciuszek w powiewnej kreacji swej pani: oto mechanizm komicznych sytuacyj i zabawnych epizodów, którym uroku dodają melodyjne piosenki, ta zwłaszcza „przy blasku świec..."

Dobrze kompozycyjnie przeprowadzony koncept z umówionem, później już uciążliwem gaśnięciem świec.

P. Loda Niemirzanka była b. wdzięcznym i miłym Kopciuszkiem, p. Żabczyński nietylko ładnie umiał nosić, jak przystało na barona, nienagannie skrojony frak,—ale, co ważniejsza, przyjemnie się go słucha, gdy śpiewa „przy blasku świec..." Zabawnie ruszał kępką wąsów pod nosem pan Miecz. Myszkiewicz. Doskonały aktor i tancerz rewiowy, p. Wojciech Ruszkowski miał pole do popisu w roli małpującego swego pana, Gastona.

S. J.

ZMARLI

Ś. P. TADEUSZ PINI

ZMARŁ we Lwowie w d. 9 września r. b. po długiej chorobie ś. p. Tadeusz Pini, wybitny polonista.

Lwowianin, ur. 1872 r. We Lwowie ukończył uniwersytet. Był nauczycielem polonistyki w szkołach średnich, nie zaniedbywał jednak studiów własnych i rychło stanął w szeregu czynnych w literaturze naukowej pracowników.

We Lwowie ruch polonistyczny od początku tego stulecia był bardzo ożywiony. Żył jeszcze Antoni Małecki, na uniwersytecie wykładali: Roman Pilat, Wilhelm Bruchnalski—wielcy pionierzy studiów nad historją literatury polskiej. Założone przez nich Tow. Literackie im. Mickiewicza skoncentrowało młode siły naukowe i miłośników literatury Rzecz znamienna, że ludzie z przymieszką obcej krwi w szkole polskiej nabierają szczególnej ciekawości do tajników polskiego życia duchowego. W komitecie Tow. Literackiego z pośród starszej generacji można było zliczyć kolejno i współcześnie taki szereg nazwisk, jak: Kallenbach, L. German, a z młodszych: Hahn, Heck, Krczek, Pini, Kridl, Kleinner i in.

Zapewne południowa krew sprawiała, że Pini odznaczał się w środowisku ociężałych polonistów niezwykłą ruchliwością i zadzierżystością, która buntowała przeciw niemu ludzi.

Głośne było jego wystąpienie w r. 1904 przeciwko Akademii Umiejętności z powodu nagrody przyznanej prof. Józefowi Tretiakowi za dzieło o Słowackim. Pini ocenił na gorąco stanowisko krytyczne Tretiaka jako uwłaczające chwale Słowackiego. Był wówczas sekretarzem zarządu Tow. Lit. im. Mickiewicza. Na walnym zgromadzeniu T-wa bez uprzedzenia prezydium zgłosił wolny wniosek, piętnujący w ostrych słowach Akademię. Zatarg z tego powodu wywołał przesilenie, co zmusiło Piniego do ustąpienia z zarządu. Było to tym znamienniejsze dla temperamentu Piniego, że później sam w ocenie Krasińskiego czy Norwida rezerwy zalecanej Tretiakowi nie przestrzegał.

Studia Piniego, zwłaszcza nad Krasińskim, zajęły poczesne w literaturze miejsce. Zasłynął jako wydawca klasyków poezji polskiej. W latach 1909—1911 wydał u Altenberga we Lwowie pisma Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego. Po wojnie był kierownikiem literackim księgarni Kościelskiego (Biblioteka Polska). W ostatnich latach założył do spółki z Plebanem wydawnictwo „Parnas Polski" i wydał Krasińskiego oraz Norwida, poprzedzając zbiory własnymi studiami.

Zasługą tych wydawnictw była ich kompletność i taniość. Pasją Piniego płynącą z umiłowania poezji było zbierać ją w całokształty. Niecierpliwie czekał na *inedita*, aby je wcielić do ksiąg zbiorowych. To go narażało na konflikty czy z Kallenbachem (Mickiewicz), czy z Przesmyckim (Norwid).

Wątły organizm, dotknięty ciężką chorobą płucną, spalał się w gorączkowym wysiku, którego wymagały zarówno mozolna praca edytorska, jak i ciężkie warunki życia.

Niech spoczywa w pokoju!

W.

Ś. P. STEFAN BARSZCZEWSKI

W WARSZAWIE zmarł w d. 10 września r. b. ś. p. Stefan Barszczewski, wybitny dziennikarz i powieściopisarz, brat znanej chlubnie artystki dramatycznej p. Wandy Barszczewskiej.

Był jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy podróżowali do Ameryki dla zbadania warunków życia naszej emigracji. Barszczewski w r. 1885 zwiedził Amerykę południową, a potem na lat kilka osiadł w Stanach Zjednoczonych. Był redaktorem „Zgody" w Chicago, stąd też korespondował do „Kur. Warsz.". Po powrocie do kraju wstąpił do redakcji tego pisma i tam pracował od r. 1901 do końca życia, przeważnie jako referent prasy zagranicznej.

Napisał szereg powieści przeważnie dla młodzieży typu egzotyki podróżniczej. Wszystkie ciekawe, szlachetne w tendencji. Był to wytrawny pisarz z tej generacji dziennikarskiej, która umiała dobrze pisać i łączyła dziennik z literaturą. W r. 1901 pracowali w „Kur. Warsz." oprócz Adama Pługa—red. Wł. Korotyński, Bron. Zawadzki, Wł. Rabski, Jan Rutkowski (nowelista), Edm. Bogdanowicz (poeta), Kaz. Laskowski.

Ś. p. Barszczewski cieszył się ogólną sympatią, jako człowiek prawy i dobry. Zapracował rzetelnie na poczesne miejsce w dziejach dziennikarstwa polskiego. W.

POKŁOSIE

KIEDY WYJDZIEMY Z CHAOSU?

Let czerez sto dorogi wierno
U nas izmieniatsia czrezmierno...
A. Puszkin „E. Oniegin".

STROFA powyższa z wygrzebanego w bibliotece na wywczasach letnich i odnowionego w pamięci poematu Puszkina ożywiła jeszcze i tak aktualny na wakacjach temat o drogach. Każdy się w tym czasie gdzieś poruszał i przejeżdżał i każdy ma pełne uszy narzekań na stan dróg u nas i to wszelkiego ich rodzaju.

Zagadnienie nie jest łatwe do rozwiązania, a żeśmy dotychczas bardzo mało się posunęli w dobrym kierunku, to może byłoby nawet do usprawiedliwienia, bo przecież zeszły się w czasie dwie sprawy, z których każda z osobna jest bardzo trudna, a cóż dopiero obie razem. Stanęliśmy bowiem przed zadaniem gruntownej, bardzo kosztownej przebudowy, odpowiadającej zupełnie nowym warunkom ruchu, akurat w chwili, kiedy kryzys pozbawił nas środków na to. Mały postęp był by zrozumiały i powinno się uzbroić w cierpliwość. Ale cóż kiedy do tych naturalnych przyczyn doszło niedołęstwo, chaotyczność poczynań i niepowołane improwizacje w napadach radosnej twórczości; wszystko to niweczyło nawet te drobne wysiłki i robiło wrażenie jakiegoś beznadziejnego dreptania w miejscu.

Najpierw mieliśmy szerokie na owe czasy plany dociągnięcia stanu dróg w całej Polsce do wzoru Małopolski i Wielkopolski. Wydawało się to łatwe i pamiętam, jak ówczesny minister robót publicznych p. Jędrzej Moraczewski kłopotał się w Sejmie tylko tym, czy mu aby wystarczy tłucznia na wszystko co zamierza wykonać. Potym zjawiła się konieczność dostosowania dróg do ruchu samochodowego, potym przyszedł źle przemyślany fundusz drogowy, brak pieniędzy nawet na jaką taką konserwację istniejącego i nastąpiła prawdziwa katastrofa. Zaczynamy się obecnie nieco z niej otrząsać, ale wciąż jeszcze brak jednolitego i konsekwentnego planu, a bez tego nie daleko i nie prędko zajedziemy. Systemy w różnych dzielnicach są różne i odpowiednio do tego rezultaty też bardzo niejednakowe i tu trzeba powiedzieć, że nasza biurokracja i zwolennicy etatyzmu dostarczyli pierwszorzędnych argumentów przeciwko sobie.

Każdy ciągnie w swoją stronę, każda kategorja zainteresowanych woła o zaspokojenie przedewszystkiem jej potrzeb, czy upodobań. Jedni żądają najpierw dróg czy autostrad między centrami przemysłowymi, inni wołają o turystyczne i t. p., a wszyscy mają rację, tylko trzeba ustalić właściwą hierarchię i kolejność spełniania tych postulatów.

W „Polityce Gospodarczej" znajdujemy (Nr. 45—46) na ten temat uwagi, wydające się słuszne:

„...gdzie budować drogi? System obecny jest bezsensowny. Buduje się jednocześnie szereg wielkich arterii, co roku po kawałeczku każdej. W rezultacie rok rocznie trzeba robić wielkie objazdy. Robota jest rozłożona na tyle lat, że gdy poprawia się końcowe odcinki, to już początkowe się psują. Ponadto dzieją się wyraźne nonsensy: jedzie się kiepską szosą — nagle parę kilometrów wspaniałego asfaltu.

„Racjonalna polityka geograficzno-drogowa powinna wyjść z następujących założeń. Przedewszystkiem należy pierwszorzędnie wybrukować ważniejsze drogi wylotowe wielkich miast — tutaj ruch jest najintensywniejszy, tutaj motoryzacja ma najwięcej szans szybkiego rozwinięcia, tutaj budowa dróg najszybciej pobudzi prywatne inwestycje przedewszystkiem budowlane, a ponadto przeciwdziałać będzie zbyt szybkiemu wzrostowi renty gruntowej w miastach przez rozszerzenie strefy, mogącej być zamieszkaną. Przykładowo: racjonalny program budowy dróg powinien w pierwszym rzędzie uwzględniać Warszawę i powiat warszawski, częściowo również błoński, grójecki, radzymiński i miński; Łódź i powiat łódzki, Poznań i powiat poznański, Gdynię i powiat morski, Kraków i powiat krakowski... wreszcie Drohobycz wraz z zagłębiem naftowym, oraz powiaty będziński i chrzanowski (zagłębia sosnowieckie i krakowskie). Śląsk ma dostatecznie dobre drogi. Dopiero w drugim rzędzie powinny być budowane wielkie szlaki i to lepiej zbudować w ciągu jednego roku jeden szlak do końca, niż dłubać na wszystkich razem jednocześnie. Tak więc w pierwszym rzędzie trzeba by wykończyć szlak Warszawa-Katowice, następnie Warszawa-Kraków, dalej Warszawa-Poznań, Warszawa-Gdynia i Warszawa-Lwów, wreszcie inne. W trzecim rzędzie dopiero można myśleć o drogach lokalnych, turystycznych etc.

„W dziedzinie budownictwa drogowego etatyści mają wspaniałe pole do popisu. Niestety ta dziedzina nie przynosi im dotąd wcale zaszczytu. Będziemy się cieszyć, jeśli skoncentrują swoją chęć do pracy i dokonań na tym właśnie odcinku i będziemy pierwsi, którzy na tym polu nie poskąpią im słów uznania, jeśli na nie zasłużą".

ARGUS

NA MARGINESIE

Z przysłów arabskich

(Ze zbioru J. A. Święcickiego)

Nie bądź słodkim aż do połknięcia, ani gorzkim aż do wyplucia.

Lepiej jest źle się na koniu trzymać niż pięknie spadać.

Lękaj się krzywdy od tego, kogo zobowiążesz.

Żal milczenia wart więcej niż żal słów.

Wrzuć go do rzeki, a on wypłynie z rybą w zębach.

Język mędrca jest w jego sercu, serce głupca w jego języku.

Sen kota zawsze się obraca około myszy.

Ten jest wybrańcem śród ludu, kto się cieszy ze szczęścia innych.

Lepszy sułtan tyran niż anarchia.

Lepsza publiczna kobieta przyzwoita niżeli nieprzyzwoita a uczciwa.

Trzech rzeczy nigdy przez trzy nie zdobędziesz: młodości przez szminkę, zdrowia przez lekarstwa i bogactwa przez alchemię. Tych trzech nigdy tymi trzema nie nasycisz: ognia drzewem, ziemi wodą, kobiety mężczyzną. Nie ufaj trojgu: koniowi, sułtanowi i kobietom. Czworgu należy schlebiać do końca: królowi, kobiecie, dzieciom i choremu. Czterech rzeczy mędrzec nie pragnie: losu gwałcić, nieprzyjaciół pytać o radę, prawdy zmieniać i wszystkich ludzi zadawalać.

Idź za sową — to ona cię zaprowadzi do ruin.

TREŚĆ: Trzy ordynacje wyborcze *St. Rymara.* — Narodowość polska i żydowska *P. Ponisza.* — Główne znamiona kultury żydowskiej *A. Rogalskiego.* — Dwoistość teozofii Trentowskiego *St. Pigonia.* — Polsko-czeskie stosunki kulturalne *Lumira.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura. — Teatr *F. P.* i *S. J.* — Zmarli *W.* — Pokłosie *Argusa.* —Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM